NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

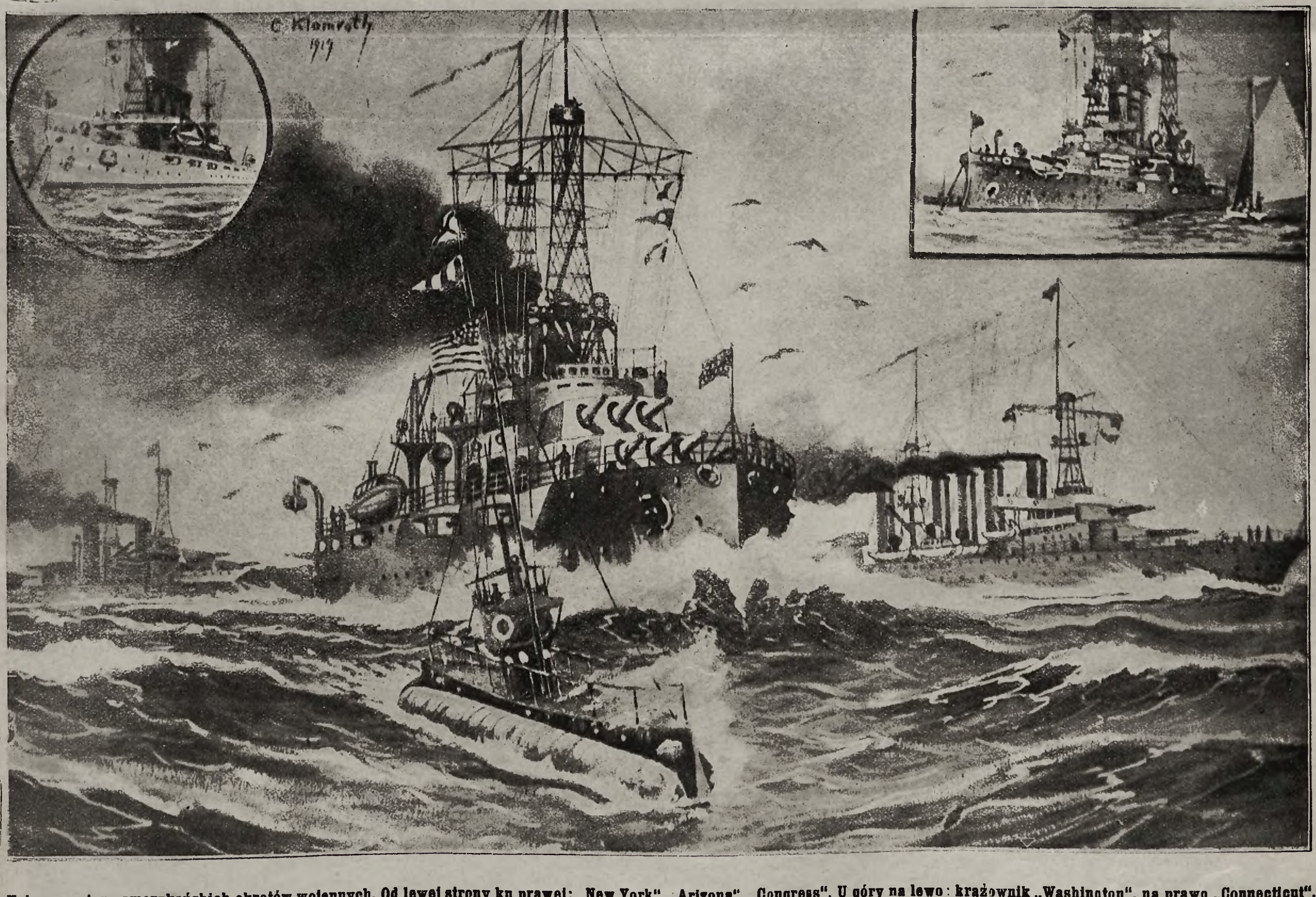
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. Kraków, 14 kwietnia 1917. Nr. 15.

Wojna z Ameryką.



Najnowsze typy amerykańskich okrętów wojennych. Od lewej strony ku prawej: „New York“, „Arizona“, „Congress“. U góry na lewo: krążownik „Washington“, na prawo „Connecticut“.

Treść numeru: 85 medali waleczności „krakowskim dzieciom“. — Zgon polskiego uczonego. — Nowe arcydzieło polskiej sztuki dla Muzeum Narodowego. — Z ziemi kujawskiej. — Seans telepatyczny w Krakowie. — Prof. Zygmunt Szwarcenstein itd.

Wojna z Ameryką.

(Do illustracyi tytułowej).

Stany Zjednoczone Ameryki północnej stanęły więc otwarcie po stronie koalicyi, a przeciwko mocarstwom centralnym, na razie tylko Niemcom. Senat prawie jednogłośnie przyjął rezolucyę, uznającą stan wojenny za istniejący, a podsekretarz departamentu marynarki, Franklin Roosevelt, urzędowo podał do wiadomości, że wydano zarządzenie co do natychmiastowego współdziałania z Anglią i Francyą. Niemieckie okręty, stojące w portach północno-amerykańskich, skonfiskowano.

Asquith wystosował do narodu amerykańskiego pismo, w którem wita fakt, iż cała rasa, mówiąca po angielsku, walczy po jednej stronie i wskazuje zwłaszcza na doniosłość wywodów Wilsona, który stwierdził, iż „dla Ameryki pozostał wybór między pokojem poniżającym a wojną honorową — nie było więc drogi pośredniej".

Wilson złożył w kongresie następujące oświadczenie:

„Zwołałem kongres na nadzwyczajną sesyę, ponieważ musi się powziąć natychmiast poważne postanowienie polityczne, za które, według konstytucyi, nie mogę objąć odpowiedzialności. Już 3. lutego przedłożyłem panom nadzwyczajną zapowiedź rządu niemieckiego, że od 7. lutego zamierza porzucić wszystkie prawne i ludzkie skrupuły i że będzie łodziami podwodnemi zatapiać wszystkie okręty, które by próbowały dotrzeć do nieprzyjacielskich portów. To samo, jak się zdaje, było celem wojennym niemieckich łodzi podwodnych już w minionej fazie wojny, ale od kwietnia 1916 roku rząd niemiecki nakazał komendantom łodzi pewne umiarkowanie według danych nam obietnic. Nowa niemiecka polityka porzuciła wszelkie ograniczenia. Okręty wszelkiego rodzaju zatapia się bez ostrzeżenia, nie myśląc o tem, aby osobom, znajdującym się na pokładzie, nieść pomoc. Okręty neutralne i zaprzyjaźnione zatapia się tak samo, jak okręty nieprzyjacielskie, a nawet okręty szpitalne, mające wolny glejt rządu niemieckiego, zatapiano z takim samym brakiem litości i zasad.

Prawo międzynarodowe rozwinęło się mozolnie wśród rezultatów, które są dość skąpe, ale rząd niemiecki zniósł nawet to minimum prawa pod pozorem odwetu i konieczności, ponieważ nie miał żadnej broni, którejby mógł użyć na morzu, prócz tej, która nie powinna być użytą. Nie mam tu na myśli teraz jedynie szkód materyalnych, chociaż te są wielkie, lecz myślę tylko o zgonie niewalczących mężczyzn, kobiet i dzieci. Obecna niemiecka wojna przeciw handlowi jest wojną przeciw humanitarności i przeciw wszystkim narodom, i każdy naród powinien sam rozstrzygnąć, w jaki sposób ma zareagować na tę prowokacyę. Nasz wybór musi być postanowiony z rozwagą, według naszego charakteru i naszych motywów narodowych. Musimy się strzedz zbyt wielkiego rozdrażnienia. Naszym motywem nie jest zemsta ani zasada brutalnego gwałtu, my się ujmujemy o prawa ludzkości.

Gdy ostatniego lutego przemawiałem przed kongresem, mniemałem, że wystarczy zabezpieczyć nasze neutralne prawo przez uzbrojenie okrętów. Ale zbrojna neutralność okazała się dziś bezużyteczną. Jest niemożliwem bronić okręty przeciw niemieckim łodziom podwodnym, gdyż zwykła ostrożność nakazuje łodziom niszczyć okręty, zanim objawi się ich zamiar. Rząd niemiecki odmawia neutralnym wogóle prawa używania broni w zamkniętej strefie, aby mogli bronić praw, których nie negował żaden





Zniszczona pociskami artyleryi francuskiej wioska Montfaucon. **Z frontów bojowych:** Ruiny kościoła w Montfaucon.



Wojna z Ameryką: Kapitol w Waszyngtonie, siedziba rządu Stanów Zjednoczonych, gdzie odbyło się posiedzenie Kongresu, na którem uchwalono wypowiedzenie wojny Niemcom.

nowoczesny prawnik. Niemcy zapowiadają, że eskorty dla ochrony okrętów traktować będą jak piratów. Wobec takiej uzurpacyi zbrojna neutralność jest więcej niż nieprzydatna. Gdybyśmy to znieśli, pozwolilibyśmy na naruszenie naszych najświętszych praw narodowych.

Spełniając bez wahania mój konstytucyjny obowiązek, radzę kongresowi, by oświadczył, że ostatnia działalność niemieckiego rządu faktycznie jest wojną przeciw rządowi i narodowi Stanów Zjednoczonych i by przyjął stan wojenny, który Ameryce został narzucony, tudzież poczynił natychmiastowe zarządzenia nie tylko, aby kraj postawić na stopie zupełnie obronnej, lecz także użyć jego źródeł pomocniczych w tym celu, aby Niemcy zmusić do przyjęcia warunków, kończących wojnę. Stan wojenny doprowadzi do ścisłego współdziałania z innymi rządami, zwalczającymi Niemcy, w ten sposób, że otworzymy im liberalny kredyt finansowy, że damy im do dyspozycyi organizacyę dla zmobilizowania wszystkich materyalnych źródeł pomocniczych kraju, aby dostarczać materyałów wojennych i aby w sposób najobfitszy, ale przez to najoszczędnieiszy i najskuteczniejszy służyć innym potrzebom wojny. Drugim skutkiem stanu woiennego będzie natychmiastowe wyekwipowanie floty, środkami, któreby zwalczały nieprzyjacielskie łodzie podwodne, dalej natychmiastowe powiększenie wojska co najmniej o 500 000 ludzi wraz z upoważnieniem, żeby tę siłę bojową według potrzeby jeszcze pomnożyć".

Zdaniem prezydenta, żołnierzy powinnoby się rekrutować według zasady powszechnego obowiązku wojskowego.

„Nie mielibyśmy żadnego sporu z Niemcami — rzekł — ale rząd niemiecki rozpoczął wojnę bez wiedzy i zezwolenia swego narodu. Wojnę postanowili niemieccy wielmoże w interesie dynastyi i małej grupy ambitnych ludzi, którzy przyzwyczajeni są używać swoich ziomków jako narzędzi. Nasza nadzieja przyszłego pokoju światowego wzrosła dzięki cudownym, a wlewającym otuchę zdarzeniom w Rosyi. Tam teraz mamy godnego uczestnika w honorowym związku.

Zamierzamy teraz podjąć walkę z naturalnym wrogiem wolności i w razie potrzeby położymy siłę całego narodu na szali, aby udaremnić pretensye tego wroga do potęgi. Nie mamy żadnych zamiarów zdobywczych, jesteśmy tylko pionierami praw ludzkich i będziemy zadowoleni, jeżeli te prawa będą zabezpieczone".

Wilson dodaje, że Austro-Węgry faktycznie nie prowadzą wojny morskiej przeciw obywatelom Ameryki, ale wywody o stosunkach z Wiedniem pragnie jeszcze odłożyć.

Prezydent zakończył tem, że Ameryka będzie walczyła o największe dobra, mianowicie o demokracyę i wolność małych narodów.



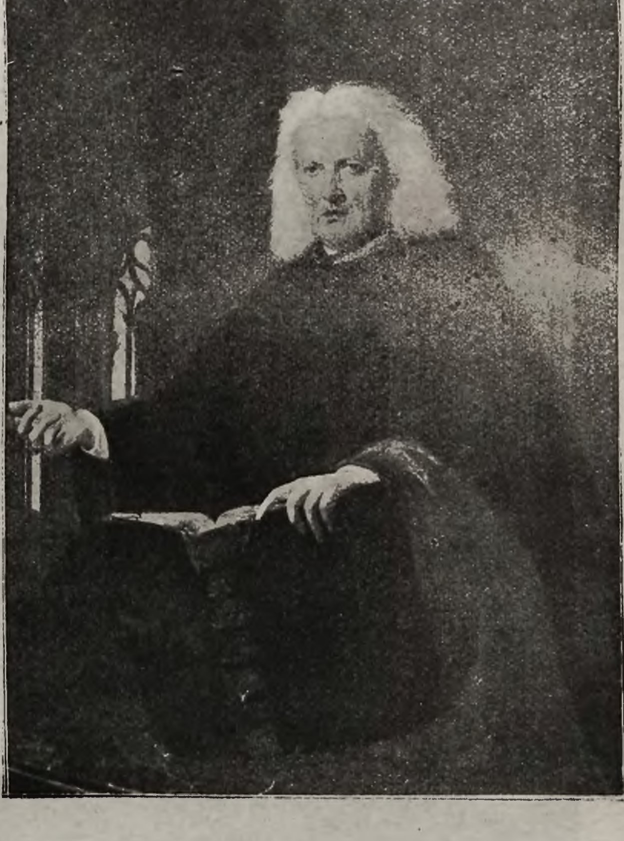

85 medali waleczności „krakowskim dzieciom":
Pułkownik Hohenauer w otoczeniu żołnierzy, odznaczonych za męstwo. Przemowa połk. Hohenauera do żołnierzy przed rozdaniem odznaczeń.

Nowe arcydzieło polskiej sztuki dla Muzeum Narodowego.

Polskie malarstwo współczesne rozpoczynamy od artystycznej działalności Henryka Rodakowskiego (ur. 1823, zm. 1894). Jego obraz, portret jenerała Dembińskiego, wprowadza polską sztukę na wyżyny najlepszych dzieł sztuki francuskiej. Henryk Rodakowski, jako malarz, rozwinął się w Paryżu. W roku 1852 wystąpił tam z dziełem, które pozyskało mu złoty medal pierwszej klasy. Był to właśnie portret jenerała Dembińskiego i to dzieło jest perłą galeryi Muzeum Narodowego, a równocześnie najstarszym obrazem.

Od tego dzieła, które pozyskało poklask metropolii artystycznej kultury świata, rozpoczyna się występ polskiego malarstwa XIX wieku na światowej arenie. Francuskiej sztuce zawdzięcza Rodakowski umiejętne znawstwo rysunku, które słusznie nazwano sumieniem sztuki, uszanowanie natury, doskonałość techniki i uznanie dla wielkich mistrzów, których tak wybitne rzeczy podziwiał w paryskich zbiorach.

Mistrzowskiem dziełem drugiem tego artysty jest „Kardynał" zwany także kaznodzieją. Artyście chodziło tu jedynie i wyłącznie o odtworzenie prawdy i artystyczne efekty. Głowa — to arcydzieło rysunku. Pod względem barwnym ze swą silną, czerwoną plamą, która nie zagłusza innych szczegółów, utwór jest pierwszorzędnem dziełem i nadzwyczaj efektownem, a przytem spokojnem, jak tego ówczesny styl w sztuce wymagał.



Nowe arcydzieło polskiej sztuki dla Muzeum Narodowego:
„Kardynał" Henryka Rodakowskiego.

„W rzeczywistości nie jest to żaden portret, tylko obrazowo wykończone studyum — pisze Dr St. Tomkowicz. — Przedstawia starca, w postaci kaznodziei, ubranego w purpurę kardynalską, widzianego do połowy ciała z poza parapetu kazalnicy. Obraz ten jest niewątpliwie jednem z najznakomitszych dzieł Rodakowskiego, streszcza w najwyższej potędze wszystkie wysokie zalety jego pędzla, łącząc w jedną harmonijną całość niesłychaną sumienność rysunkową z siłą kolorytu, subtelność charakterystyki, obserwacyi i modelowania z plastyką i umiejętnością wydobywania efektu. Miał jeszcze i tę rzadką właściwość, że zarówno wywarł wrażenie na masy, jak zachwycił znawców".

Arcydzieło tak znakomitego malarza znajdowało



Z frontów bojowych: Resztki zestrzelonego przez Niemców angielskiego aeroplanu na zachodnim froncie.



Z frontów bojowych: Ruiny folwarku na zachodnim froncie, o którego zdobycie napróżno długi czas kusili się Anglicy i Francuzi.

się dotąd tylko jako depozyt w Muzeum Narodowem, zdobiąc salę „Hołdu Pruskiego". Miało ono już podobnie, jak inne cenne depozyty i perły polskiej sztuki n. p. „Dzieci Matejki" przez Jana Matejkę, autoportret Matejki, autoportret Grottgera, obrazy Malczewskiego, Pruszkowskiego, porzucić sale Sukiennic, gdyby nie ofiarność Jana Kantego Federowicza, pierwszego wiceprezydenta miasta, który Muzeum Narodowemu przyszedł z pomocą materyalną i ocalił to dzieło dla krakowskiej instytucyi, która jest dumą i chlubą miasta, nie tylko wobec narodu, ale i zagranicy.



Z frontów bojowych: Zdobyta przez strzelców tyrolskich włoska pozycya obronna na Monte Cengion.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

28

20. października.

Byłam dzisiaj u Łuskowskiej... Zaniosłam jej dzieciom cukierków i ciastek... Wielka była uciecha i ja się rozweseliłam... Roześmiałam się nawet kilka razy, nie tak po mojemu, jak zawsze dla ludzi, ale prawdziwie, szczerze... Miłe dzieciaki, a ta Stefcia najstarsza, paradna ze swoą poważną miną. Nie zawsze posłuszne i grzeczne, ale przyjemne... Szalenie lubię dzieci, chociaż niewiele zwykle mam do nich szczęścia. Nic dziwnego, dzieci lubią ładne twarze...

Łuskowska tak narzeka. Ciężko jej, kłopotów ma wiele. Mężowi pensyi nie podwyższyli, a tu z każdym dniem wszystko drożeje. Ona musiała zaprzestać stołowania, bo trudno o prowianty, a stołownicy kapryszą. Dzieci niszczą ubrania, drą buciki...

— Skąd tu brać na to, proszę pani — mówiła mi — głowa pęka poprostu! I przed wojną trzeba się było liczyć, a teraz, to już.. no, szkoda nawet mówić... Pani, to ma święte życie... Sama... fach pani ma, zarabia pani nieźle i o nikogo się pani troszczyć nie potrzebuje!

Zapewne. Tylko zapomniała, że nawzajem o mnie nikt się nie troszczy, że mogę jak pies bezpański iść gdzie mi się podoba i zdechnąć pod płotem, jeżeli mi się tak podoba...

Ciekawa jestem, czy by ona zamieniła się ze mną! Czyby mi oddała swojego chorowitego, trochę stetryczałego męża, który jednak serdecznie ją kocha i pracuje ile mu sił starczy i te dzieci rozkapryszone czasem, obdarzone doskonałym apetytem i wiecznie potrzebujące nowych ubranek i bucików, ale miłe, roztropne, szczebiotliwe — i ten dom własny pomimo wszystkich braków i niedomagań zaciszny, wygodnie urządzony, ciepłem uczucia owiany?...

Możeby tak spróbowała przenieść się do mojego „umeblowanego" pokoju, wracać po pracy do mych czterech ścian i zasypiać z taką wieczną pustką i nieukojoną tęsknotą w sercu... Niechby spróbowała! Zresztą, ona tego co mówi, nie myśli na seryo. Ot, tak powie coś, aby powiedzieć! Ona wcale siebie ze mną nie porównuje. Mam to najgłębsze przekonanie, że uważa mnie za jakąś istotę bezpłciową, stojącą poza nawiasem kobiecości. Naturalnie; jestem przecież tak brzydka! I on także... Jemu napewno nigdy nawet do głowy nie przyszło posądzić mnie, że ja śmiałam zakochać się... Ja się przecież nie liczę...

22. października.

Coraz silniej dręczy mnie moja samotność. Z dreszczem wstrętu i trwogi wracam wieczorem do mojej „ciupy". Gdybym to ja miała kogoś, ktoby potrzebował mojej opieki, komuby choć trochę zależało na mnie. Jestem samodzielna i niezależna, a jednak chętnie poddałabym się czyimś kaprysom nawet, żeby tylko czuć się potrzebną... nie tak bardzo samotną... nie tak bardzo niczyją...

Chwyta mnie taka tęsknota za jakiemś żywem stworzeniem, że już myślałam o tem, aby chować sobie jakieś zwierzę: psa albo kota. Nie zrobiłam tego — wstyd wyznać samej przed sobą dlaczego... Zlękłam się, że powie ktoś: „staropanieński" nałóg... Jakież to śmieszne u mnie, która przecież od chwili uro dzenia skazana jestem na staropanieństwo, bo ktoby się ożenił ze mną? Chyba niewidomy... Może, gdybym miała duży majątek... ale na to znów jestem za inteligentna i wzdrygnęłabym się przed tem, żeby męża sobie kupować...

Od najmłodszych lat oswajano mnie z myślą, że zostanę sama. Ciągle słyszałam: „Trzeba coś z Kornelką zrobić... ona taka brzydka, za mąż nie wyjdzie!..."

No, to nie wyjdę! Czy mi doprawdy tak bardzo o to chodzi?

A jednak czuję w sobie jakąś trwogę wobec miana „stara panna" w zastosowaniu do siebie. To tradycyjne, tego nie zmienią żadne teorye ani rozumowania... Nie jestem jeszcze stara... mam dopiero dwadzieścia lat skończonych...

Co?... Co ja właściwie myślę?... Może to początek jakiejś manii prześladowczej? A gdybym tak była bardzo, bardzo bogata i mogła pieniędzmi kupić sobie... jego... Ludwika, czy zrobiłabym to?... Nie wiem...

23. października.

Mieć jakiś cel taki zwykły, codzienny, bliski, jak inne kobiety! To by mi pomogło zdławić, zdusić tę burzę, która szaleje we mnie!

Aha! Muszę w moim obrachunku życiowym zanotować jeszcze jedno niepowodzenie... Przyszło mi do głowy, żeby w święta pójść do którego szpitala i zanieść co rannym żołnierzom. Kupiłam dobrych papierosów, książek, gazet (wszystko za moje własne, ciężko zapracowane grosze — nie żebrałam po sklepach, redakcyach i księgarniach, tak, jak to robią rozmaite damy „dobroczynne") i poszłam.

Nie szłam do oficerów, ani do jednorocznìaków, bo wiem, że tam opiekunek dosyć, ale do prostych żołnierzy. Nie byłam jednakowoż sama. Prócz mnie przyszła na tę salę różowa, szczebiotliwa, bardzo ładna panienka, dwie młode kobiety, bardzo gustownie, choć ciemno i skromnie ubrane... Przyniosły mniej niż ja cukierków i ciastek, daleko gorsze papierosy, zapomniały o pismach i książkach, a jednak chorzy przywitali je inaczej, niż mnie...

One umiały tak ładnie patrzyć, tak wdzięcznie się uśmiechać, tak słodko mówić... Słyszałam, jak jeden z żołnierzy mówił do sąsiada o różowej panience, że wygląda jak „aniołek"...

Moje cukierki zjedzono ze smakiem, papierosy zapalono z przyjemnością, książki powędrowały pod poduszki, ale stanowczo dziękowano mi powściągliwiej i chłodniej, niż tamtym, mniej się mną zajmowano...

Odbiła mi się nawet o uszy mało pochlebna uwaga młodego, ośmnastoletniego może chłopaka wiejskiego: „ta panna, to bardzo nieprzyjemno na gębie"...

Nie mam żalu do tego chłopca... Powiedział, co myślał. Mówił zresztą cicho, przypuszczał zapewne, że nie usłyszę. Cóż on temu winien, że ja jestem tak bardzo „nieprzyjemno na gębie"...

24. października.

Wypadł mi dzisiaj z książki, którą sobie przywiozłam od Heli, wycinek z gazety. Było to ogłoszenie owego inwalidy bez ręki... Poszukuje dla siebie towarzyszki życia i opiekunki dla swoich trojga dzieci... Uroda i majątek obojętne... Chodzi mu tylko o to, żeby to była kobieta „dobra, łagodna, pracowita, skromna"...

Już wtedy w Zalesinkach zastanowiło mnie to ogłoszenie, a teraz, chcąc nie chcąc, muszę myśleć o niem...

A gdyby... Cóżby w tem było złego? Jeżeli to człowiek inteligentny... Wprawdzie zawieranie małżeństw, czy znajomości przez ogłoszenia jest rzeczą śmieszną, niską, trywialną, ale w tym wypadku... Żołnierz-kaleka szuka kobiety, któraby go pielęgnowała i matki dla swoich sierót... Ciekawam, co to za jeden.

Niedziela.

Niedziela! Najbardziej pusty, męczący dla mnie dzień z całego tygodnia; choć to dzień wytchnienia, odpoczynku! Co robić z tą długą, nudną niedzielą, która zda się nie ma końca!

A jak na złość ta dzisiejsza niedziela taka pogodna, ciepła, słoneczna, jakby to nie późna jesień była, nie koniec października!

Tłumy odświętnie przybrane wyległy na ulicę. Kawiarnie, kina, teatry przepełnione! Bo chociaż wojna... i drożyzna rośnie, i nędza po kątach się tuli... i gdzieś tam niezbyt nawet daleko szaleje śmierć, groza, zniszczenie — jednak życie toczy się swoim utartym torem.

Ludzie bawią się, kochają, śmieją się, stroją, spacerują... Mogłam i ja iść do znajomych jakichś, do której z koleżanek, ale nie chciałam... Dosyć mam już tej roli wiecznej, cierpliwej, biernej powiernicy... Wolałam już iść do kina, ale wynudziłam się straszliwie. Potem wypiłam szklankę mleka i poszłam do domu, naturalnie sama...

3. listopada.

Napisałam pod podanym w ogłoszeniu adresem. Będzie to w każdym razie pierwsza w mojem życiu „awantura". Oczywiście uprzedziłam adresata, że jestem brzydka.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Muszę cię już pożegnać, Janko!

— Ależ nie! Chodź jeszcze kawałek ze mną, podprowadź mnie do mojej krawcowej. Chodź, Kornelko, tyle ci mam jeszcze do opowiedzenia — prosiła koleżanka.

Istotnie czarnooka Janka mogła bez końca opowiadać i opowiadać, o tem, co jej mówił podczas urlopu, a co później pisał narzeczony, ułan z pułku Beliny.

— No, idziesz ze mną?

— Nie, Janko, nie mogę, spieszy mi się!

— Powiedziałby kto, że się boisz spóźnić na „randkę".

Przy tych słowach Janka roześmiała się tak głośno i serdecznie, jakby to wypowiedziane przez nią przypuszczenie było jakąś ogromną, samą przez się komiczną niedorzecznością.

Lekkie, niedostrzegalne prawie drgnienie przebiegło po twarzy Witowtówny... Ale śmiała się także.

— Ty masz pomysły, Janko! Ja i randka... Niemniej jednak spieszę się. Do widzenia!

— Pa, Kornelko!

Kornelia pożegnała się z koleżanką i szybkim krokiem skierowała się w ulicę Floryańską.

Zatrzymała się przed cukiernią. Długą chwilę stała niezdecydowana, wahając się, czy wejść. Wreszcie z mocnem jakiemś postanowieniem ściągnęła swoje bezbarwne brwi i weszła.

W cukierni było prawie zupełnie pusto. Panna za bufetem, założonym ciastkami, czytała jakąś powieść. Przy jednym ze stolików siedział starszy, poważny jegomość, popijał ciepłe mleko i czytał gazetę. Opodal zaś jakiś młodzieniec ze zmiętą, niezdrową cerą i bujnie powichrzoną czupryną, drzemał, wtuliwszy się w róg kanapki.

Oprócz tych dwóch w lokalu znajdował się jeszcze jeden gość. W głębi, przy stoliku, pod lustrem, siedział mężczyzna czterdziestoletni może, czysto i starannie ubrany. Twarz miał bladą i smutną, jakby był chory, zmęczony, czy znękany. Regularne rysy i wielkie, szare, wyraziste oczy, czyniły go pomimo zmizerowania przystojnym. Szczególnie w miękkim rysunku ust było coś dziwnie miłego i pociągającego. Lewy rękaw był pusty, a w prawej ręce mężczyzna obracał gałązkę drobnych, białych chryzantemów.

Spojrzenie Kornelii padło na pusty, zwieszony rękaw, na białą gałązkę, a potem z błyskawiczną szybkością przeniosło się na sympatyczną twarz mężczyzny.

Śmiałym, zdecydowanym krokiem podeszła do stolika, chociaż krew biła jej ponsową falą do głowy.

— Czy z panem Rogoziewiczem mam przyjemność?

— Tak jest — odparł mężczyzna, wstając.

— Jestem Kornelia Witowtówna.

Rogoziewicz spojrzał i drgnął. Pierwszy odruch jego był taki, jakby chciał cofnąć się o krok, ale opanował się natychmiast i z przyjaznym uśmiechem wyciągnął rękę ku stojącej przed nim kobiecie.

— Dziękuję, że pani przyjść zechciała.

Kornelia spostrzegła ten pierwszy ruch i przykre drgnienie twarzy. Ręka, którą Rogoziewicz uścisnął, zimna była i sztywna.

Dziewczyna roześmiała się ostro, nieprzyjemnie.

— Proszę pana, niech pan będzie szczerym. Ja nie jestem w pretensyach, wiem, co mam sądzić o mojej powierzchowności. Uprzedziłam pana wprawdzie, że jestem brzydka, ale czegoś podobnego nie spodziewał się pan... Niechże pan powie odrazu, że jestem za brzydka, aby pan wogóle chciał mówić ze mną...

Mężczyzna łagodnie potrząsnął przecząco głową i ścisnąwszy silniej rękę Kornelii, przymusił ją prawie, aby usiadła.

— Nie, proszę pani, nie powiem tego, bo tego nie myślę. Nie szukam piękności, a w oczach pani czytam rozum i dobroć... Moja pierwsza żona była piękną, a jednak ta jej uroda nie dała mi szczęścia, przeciwnie, była źródłem cierpień i niesnasek...

— Ale pan ją kochał!

— Tak, bardzo. Jednak byłaby może szczęśliwszą i ja przy niej, gdyby trochę mniej była ładną...

— Co innego mniej ładna, a co innego brzydka potwornie, jak ja.

Uśmiechnął się łagodnie, miękko, współczująco.

— Dużo pani musiała doznać w życiu przykrości i jest pani na tym punkcie nadto drażliwa. Dziwny to jednak trochę początek rozmowy. Dajmy temu spokój. Teraz na mnie kolej zapytać panią, czy się pani nie przestraszyła schorowanego kaleki?

— Ach, panie! Powiem otwarcie, że o ile pan doznał przykrego, to ja miłego rozczarowania. Bo mimowoli jakaś nieufność względem człowieka...

— Który umieszcza w gazecie ogłoszenie małżeńskie, prawda? Ja sam przyznaję, że to droga nieprzyjemna, ja jednak chcę się ożenić, a wolę ogłoszenie, jak swaty mam, cioć i kuzynek. Tutaj przynajmniej dwoje ludzi ma do czynienia tylko ze sobą...

— Tak, to prawda...

— Pani napije się czego? Herbaty, czekolady?...

— Napiję się herbaty.

— Chłopcze! Herbata! — zawołał Rogoziewicz.

Chłopiec przyniósł herbatę. Kornelia powoli piła gorący napój łyżeczką, nie patrząc na swego towarzysza.

Rogoziewicz przysunął się ku niej bliżej i mówił przyciszonym głosem:

— Nie chcę pani łudzić... Jestem nie tylko kaleką, ale człowiekiem chorym, bo wojna zszarpała mi nerwy... Dlatego nie mogę wziąć żadnej posady i muszę się zadowolać małą emeryturką... Prócz niej

mam tylko domek piętrowy ze sporym ogrodem, w którym hoduję warzywa...

— To mi pan już pisał.

— Tak... pisałem, bo chcę, żeby pani wiedziała, że żona moja opływać w dobrobycie nie będzie... Dzieci mam troje... Pracy dużo... Niech mi pani powie szczerze, czegoby pani żądała w małżeństwie?

— Spokoju... domu rodzinnego... i obowiązków.

— Nic więcej?

— Nic.

— To nie wiele.

— Czyż mogę być wymagającą?

— Jest pani kobietą wykształconą... posiada pani zawód... pracuje pani samodzielnie...

— Nie wystarcza mi to. Chciałabym mieć bezpośredni cel życia i... nie być samotną...

Kornelia dziwiła się sama sobie, że najskrytsze pragnienia swoje wypowiada tak śmiało i otwarcie temu obcemu zupełnie mężczyźnie.

W sposobie zachowania się Rogoziewicza było jednak coś, co ją ośmielało i pociągało.

Sytuacya sama przez się kłopotliwa, traciła swój niemiły posmak. Rozmowa nabierała charakteru szczerej, poufnej, przyjaznej pogawędki.

— Pierwszy raz ktoś interesuje się mną, dopytuje o moje myśli i uczucia — pomyślała Kornelia.

Zaczynało jej być jakoś dobrze i zacisznie.

— Czy pani ma rodzinę?

— Owszem, mam rodziców, siostry, brata, ale daleko, na Litwie... Oddawna nie jestem już u nich... Oderwałam się sercem od nich i oni odemnie...

— I szuka pani nowej rodziny?

— Tak...

— Pokażę coś pani.. Proszę, niech pani spojrzy... Oto fotografia mojej trójki...

Wyjął z portfelu fotografię gabinetowego formatu i podał ją Kornelii.

Wpatrzyła się uważnie i przez długą, długą chwilę nie mogła oderwać wzroku.

Jakiś czar wionął ku niej od tej grupy trojga prześlicznych dzieci.

Dziewczynka z rozpuszczonymi na ramiona włosami, z wielkiemi, ciemnemi oczyma w dziwnie poważnej twarzyczce małej kobietki, ogarniała rączkami dwoje młodszych, uroczych, roześmianych dzieciaków, przypominających trochę aniołki Murilla, a trochę figlarne buzie dziecięce Greuze'a.

Ciepłem, macierzyńskiem uczuciem zatrzepotało się biedne, gorycą istnienia zatrute serce w piersi samotnej, brzydkiej dziewczyny.

— Cudne dzieciaki! — wyrzekła wreszcie, oddając fotografię powoli, jakby z żalem.

Aż zawstydziła się, że głos jej brzmi tak jakoś rzewnie, a oczy mgłą wilgotną zachodzą.

Uczucie głębokiej, szczerej radości i dumy ojcowskiej rozjaśniło bladą twarz mężczyzny.

— Ładne, prawda?... Miłe, dobre i roztropne!... Chyba nie przesadzę, jeżeli powiem, że niepodobna ich nie lubić!... Chociaż mają swoje wady. O, mają!... Czasem trudno z niemi dojść do ładu!...

— Prawdziwe, żywe dziecko nie może być takie, jak niedoścignione wzory w powiastkach dla „grzecznych" dzieci — zauważyła Kornelia.

— Oczywiście!... Jak pani to rozumie!... Biedne moje maleństwa... one tak bardzo potrzebują serdecznej, a rozumnej opieki kobiecej... Ja, choćbym chciał, nie potrafię... Bywam często zdenerwowany, rozstrojony, a tutaj potrzeba dużo spokoju i dużo, bardzo dużo cierpliwości!...

— W jakim wieku są dzieci?

— Stefka, najstarsza, skończyła dziewięć lat. Ona mnie niepokoi trochę. Jest stanowczo za poważna i jakoś jakby zanadto dojrzała umysłowo na swój wiek... A przytem skryta i uparta... Czasem zdaje mi się, że to dziecko wie już i rozumie daleko więcej, niż jej dziewięcioletni mózg przetrawić może...

— W każdym razie to dowód, że dziecko jest intelligentne i umie myśleć.

— O tak! Stefka jest bardzo intelligentna i zdolna. Uczy się doskonale... Tylko boję się, żeby su ta intelligencya nie wypaczyła...

— A młodsi?

— Władek ma sześć lat, a Zosia, cztery... To znowu skończone urwisy... Trzeba ich na każdym kroku pilnować, aby nie spsocili czegoś albo nosów sobie nie porozbijali...

Rozmowa o dzieciach nabierała coraz więcej charakteru poufałej pogawędki.

Witowtówna z żywem zainteresowaniem wypytywała o przyzwyczajenia, upodobania, zdolności dzieci. Kiedy niekiedy wtrącała swoje uwagi, które jej towarzysz najczęściej z uznaniem aprobował.

— Tak! Słusznie... Pani ma wrodzoną intuicyę pedagogiczną.

Witowtówna uśmiechnęła się.

— A może to tylko instynkt macierzyński, właściwy każdej kobiecie.

Wstrząsnął głową przecząco.

— Nie! To nieprawda, że wszystkie kobiety mają wrodzone uczucia macierzyńskie... Jest wiele takich, które matkami być nie umieją, choć mają dzieci... Nie jeden taki przykład miałem przed oczyma i nieraz bardzo blisko.

Sposępniał. Ściągnął brwi, czoło sfałdowało mu się w szeregi drobnych zmarszczek, przez co wydawał się daleko starszym, niż był w istocie.

Po chwili spojrzał na Kornelię i zapytał nagle, jakby to był dalszy ciąg jego myśli:

— Więc pani podobają się moje dzieciaki?

— Bardzo!

— I zgodziłaby się pani zostać ich matką, opiekunką, wychowawczynią?

— Tak — odpowiedziała szczerze i zdziwiła się sama sobie, że to się tak jakoś rzekło prosto, jasno bez rumieńca na twarzy i bez zawstydzenia.

— Pomimo wszystkich kłopotów, trudności, trosk?

— Właśnie dla nich!

— A zatem...

Kornelia spokojnie, ufnie złożyła swoją rękę w wyciągniętej ku niej dłoni mężczyzny.

— — — — — — — — — — — —

Tego samego jeszcze wieczoru spaliła Witowtówna wszystkie drobne, małoznaczące pamiątki od Ludwika Rażyckiego. Płomień pochłonął kilka krótkich, błahych w treści bilecików, zeschły bukiecik fijołków, ofiarowany kiedyś Kornelii w przystępie dobrego humoru i jakieś rysunki.

Pozostawiła sobie tylko fotografię Ludwika, którą swego czasu zabrała potajemnie z albumu pani Rażyckiej. W pierwszej chwili chciała i tę fotografię rzucić w ogień, ale zabrakło jej siły...

Spalić jego podobiznę... nie... nigdy!... Niechaj chociaż to jedno zostanie!

Gorące krople łez padały z brzydkich, wypukłych, rybich oczu dziewczyny na fotografię i plamiły chłodny, gładki, lśniący papier.

— Żegnaj Ludwiku, żegnaj na zawsze! Żegnaj, jedyny mój śnie o miłości!...

ROZDZIAŁ XVI.

U wejścia do „restauracji" i „wyszynku piwa i rurznych wudek" Hermana Grinszpana, wisiał zachęcający szyld: „Tu się je i pije, jótro za darmo dzisiaj za pieniądze", „Fhut pszez sień".

Tylko oczywiście tego „jótro" nie mógł się nikt doczekać, a „dzisiaj" napędzało obficie grosza do kieszeni właścicielowi, który nie zadowalał się podawaniem potraw i „szynkowaniem", ale prowadził także sklep „mieszanych towaruf" i pośredniczył w interesach najrozmaitszego rodzaju.

Niedomagań wojny nie znać było po nim. Frzeciwnie, okrągła, uśmiechnięta twarz jego wypełniała się coraz więcej i uśmiechała się coraz rozkoszniej. Ludzie opowiadali sobie, że Grinszpan podczas wojny na spekulacyach żywnościowych i innych zrobił krociowy majątek, że dla córki swojej, Rózi, kazał swatowi szukać „doktora", a sam w oczekiwaniu tego świetnego zięcia zaczyna tak skracać swój chałat, iż ten tradycyjny strój przypomina już raczej surdut.

Grinszpan nigdy o tej swojej pomyślności nie mówił, natomiast narzekał często na „ciężkie" czasy i wzdychał, wspominając kary pieniężne, które nieraz płacić musiał za przekraczanie przepisów o podawaniu alkoholu.

— Oni się na mnie uwzięli. Jak tylko jaki chłop pijany awanturę zrobi, to zaraz jest doniesienie, że on się upił u Grinszpana! Zeby moje wrogi takie zdrowe byli, jak to jest prawda!

— No, jak są świadkowie — wtrącał ktoś uwagę.

— Co, szwiadki?! Co to znaczy szwiadki? Żebym ja tyle tysiąców miał, ileby ja mógł mieć szwiadki!

— Et, nie zawracaj pan głowy, panie Grinszpan! Albo to pan nie dasz wódki, ile kto zechce?

— To jest zapłata za moje dobre, miękkie serce! Jak mnie kto prosi, że jego żołądek boli, że on chory, to ja jemu chcę grzeczność robić i muszę za to płacić! Co mnie to kosztuje! Co mnie to kosztuje!

— Już tam pan sobie to odbijesz... Jeszcze trochę wody do wódki, kieliszek będzie kosztował koronę i koniec!...

Na to Herman Grinszpan nie odpowiadał już nic, tylko ciężko wzdychał, jakby ubolewając nad ludzką niewdzięcznością i niesprawiedliwością.

I dzisiaj rojno było i gwarno w wielkiej, zadymionej, dusznej izbie szynkownianej z brudną, zaplutą podłogą i długim szeregiem ław i stołów. W dniu tym zszedł się jarmark z terminem pobierania zasiłków przez wieśniaczki z gmin okolicznych, to też niejedna korona zarobku jarmarcznego lub zasiłku tonęła w czeluściach kasy Grinszpanowej.

Dwie dziewczyny z pretensyonalnemi grzywkami, a w brudnych fartuchach, podawały potrawy i napoje. Powietrze przesycone było oparami gorącego mięsa, wyziewami alkoholu, niemiłą wonią śledzi i zepsutego sera, i zaduchem potu ludzkiego.

Gospodarz sam stał za bufetem — krajał, nalewał, doglądał, odbierał pieniądze, a czasem udzielał energicznych admonicyi usługującym dziewczętom. Chwilami marszczył brwi. Nie był dzisiaj zadowolony z targu. Gości wprawdzie było dosyć, ale znać było, że się liczą z groszem. Jaki taki poprzestawał na czystej szklance herbaty i zagryzał własnym, z domu przyniesionym chlebem.

— Kto ma pić? Kto ma fundować? — myślał Grinszpan. — Czy te stare chłopy, czy te baby, co każda halerza w garści dusi, jakby to był milion... Parobków niema, młodych gospodarzy niema. Czasy nie są złe, one są nawet całkiem dobre, ale kto ma pić?

Przy jednym tylko stole raczono się obficiej; siedział tam młody ułan „urlopnik", a z nim dwie starsze kobiety i młoda, płowowłosa dziewczyna. Kobiety sadziły się widocznie jedna przed drugą, aby jak najhojniejszym poczęstunkiem dogodzić żołnierzowi.

— Panienko, proszę cztery piwa!

— Panienko, herbaty z rumem! Ino, niech rum będzie jak należy! Niech kosztuje, co chce, byle był „fajny"!

— Proszę gulaś!

— Pij, Franuś!

— Jedz, Franuś!

Ułan nie dał się prosić. Jadł, aż mu się uszy trzęsły i pił ze smakiem, powtarzając co chwila:

— W wasze ręce, mamusiu! Do was „krzesna" matko! Na zdrowie, Margoś!

— A na długo to na urlop? — rzucił ktoś pytanie od drugiego stołu.

— Na osiem dni.

— O, to zleci, jakby z bicza trzasł!

— I pójdzie znowu, pójdzie odemnie na ten plac boju... na te „kanony" straśne. O, mój Boże, mój Boże! — zaczęła lamentować matka.

— Nie płaczcież, mamusiu, nie płaczcież! — Bo to płakać, kiedy nie pomoże!

Dziewczyna z jasnymi włosami, westchnęła głośno, a podpity już trochę ułan zaśpiewał:

Oj, zapłaczesz, dziewczyno!
Oj, zapłaczesz!
Oj, jak mnie na koniku
Oj, zobaczysz!...

— Pisałam i ja prośbę po mojego chłopa na urlop — opowiadała jakaś inna kobieta — żeby to mu choć kilka dni dali... Tak mi się cnie za nim, co rety!...

— Żeby to ich na dobre popuszczali!...

— Ale na dobre tam!... Puszczą! A jakże!...

— Wszyćko ma swój koniec!...

— Ino gdzie ten koniec, gdzie, kie go nie widno?!

— Czekaj tatka latka, aż kobyłkę wilcy zjedzą!...

— Kumoska! Kumoska! — rozległ się nagle szept — Popatrzcie ino... Sojkowa Franka z pisarzem ze Skowronkowic!...

— Jaka ci to galancie odziana!...

— Jak sama pani japtekarzowa!...

— W kapelusie!...

— W plusiowym żakiecie!...

— Spodnica na pańską modę!...

— Jak jej to nie wstyd, moiściewy!... Skąd ona na to bierze!...

— A żydy dają!... Siedzi una i u Wajkrata i u tego tu Grinśpana w kieszeni dobrze!...

— Pójdzie ojcowizna na marne!...

— A pójdzie! Mało to i kawaliry od niej wypiją i napożyczają?!...

— Choćby i ten pisarz ze Skowronkowic!...

— A ona głupia myśli, że on na jej urodę łasy, że się żenił będzie!...

— Ale żenił się będzie! Niech ino tego ostatniego centa od niej wycygani, to jej ta później pokaże ka raki zimują!...

Wszystkie te uwagi podawano sobie jednakowoż z ust do ust bardzo cicho i bardzo dyskretnie ze względu na osobę pisarza, tytułującego się „panem sekretarzem".

Bądź co bądź była to osoba „urzędowa" i zadzierać z nią było niebezpiecznie.

Taki pisarz, jeżeliby zechciał, mógłby niejednemu porządnie dokuczyć, więc poco z nim zaczynać.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zgon polskiego uczonego.

W poprzednim numerze wspomnieliśmy pokrótce o śmierci profesora Maryana Raciborskiego, znakomitego botanika o światowej sławie. Zgon jego wywołał żałobne echo w różnych polskich instytucyach i stowarzyszeniach naukowych. Uczciła pamięć Zmarłego przedewszystkiem Akademia rolnicza w Dublanach, dla której lat kilka owocnie pracował, następnie senat akademicki Uniwersytetu lwowskiego i krakowskiego, wreszcie polskie Towarzystwo przyrodników im. Kopernika, którego przewodniczący, dyrektor Sokołowski, w dłuższem przemówieniu podniósł z naciskiem, że „był on botanikiem polskim, dla którego przyroda ojczysta we wszystkich swych przejawach była jedynem umiłowaniem, jej poświęcił cały żywot, pełen znoju, trudów i przeciwności. Jej poświęcił wysiłki swego genialnego umysłu, oddał jej niepodzielnie swą olbrzymią wiedzę i cały zapał gorącej swej natury".

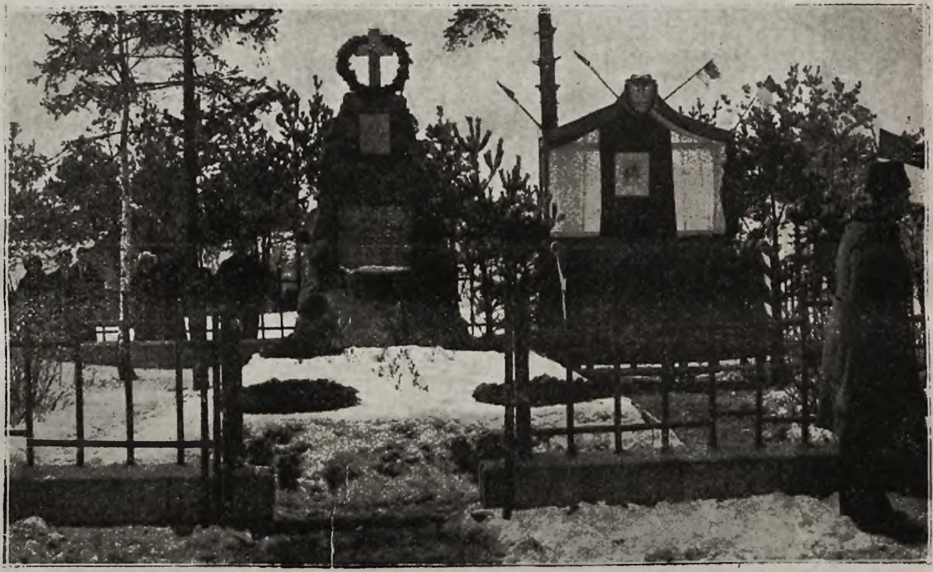
S. p. Maryan Raciborski urodził się w Brzostowej pod Opatowem w dniu 16 września 1863 r. Po ukończeniu w Krakowie szkół średnich, rozpoczął w Uniwersytecie Jagiellońskim studya filozoficzne, poświęcając się głównie umiłowanej przez się botanice, przy której katedrze pełni w latach 1885–1892 obowiązki asystenta. Po otrzymaniu stypendyum im. Gałęzowskiego, wyrusza za granicę celem dalszego kształcenia się w raz obranym kierunku i pracuje kolejno w muzeach i laboratoryach w Wrocławiu, Monasterze, Bonn, Strassburgu i Tybindze. W r. 1893 otrzymuje powołanie na asystenta Instytutu fizyologii roślin przy Uniwersytecie monachijskim, gdzie też w rok później uzyskuje stopień doktora filozofii.



Z frontów bojowych: Wzorowo urządzone stanowisko obronne wojsk austryacko-węgierskich na galicyjskim froncie bojowym



Z ziemi kujawskiej: Ogólny widok Włocławka od strony mostu.



Z ziemi kujawskiej: Pomnik na grobie powstańców 63. r. we Włocławku.

Nazwisko Raciborskiego z każdym rokiem nabiera w świecie naukowym coraz większego znaczenia, nic też dziwnego, że w roku 1896 wyjeżdża na Jawę, wezwany do opracowania paproci, w lipcu następnego roku przenosi się dla badania trzciny cukrowej do Kagok, w roku zaś 1898 obejmuje świeżo utworzoną w Buitenzorgu stacyę doświadczalną dla badań tytoniu, skąd odbywa liczne wycieczki po całej Jawie, wyspach sundajskich i Malace.



Z frontów bojowych: Placówka flankowa austryacka w Alpach karyntyjskich.

W roku 1900 powraca do kraju i pełni kolejno obowiązki profesora botaniki w Akademii rolniczej w Dublanach i na uniwersytecie lwowskim, gdzie powołuje do życia Zakład biologiczno-botaniczny. W roku 1913 przenosi się wreszcie do Krakowa i obejmuje katedrę botaniki po profesorze Rostafińskim.

Tutaj upłynęły ostatnie lata jego pracowitego żywota, zanim nieuleczalna słabość nie skłoniła go do wyjazdu do Zakopanego, skąd nadeszła smutna wiadomość o jego zgonie.

S. p. prof. Raciborski zdziałał na polu naukowem bardzo wiele i imię polskie rozsławił daleko po świecie. Jako pedagog cieszył się powszechną miłością swych uczniów i uznaniem kolegów. Praca pedagogiczna nie przeszkadzała mu bynajmniej w pracy naukowej, której owocem długi szereg studyów i rozpraw fachowych, napisanych w kilku językach. Był członkiem krakowskiej Akademii Umiejętności i licznych towarzystw naukowych krajowych i zagranicznych, nie cofając się ponadto nigdy od współudziału w pracy obywatelskiej. Przyrodę rodzimą ukochał sercem całem, popularyzując wśród ogółu myśl ochraniania charakterystycznych, a coraz rzadszych zabytków polskiej flory.

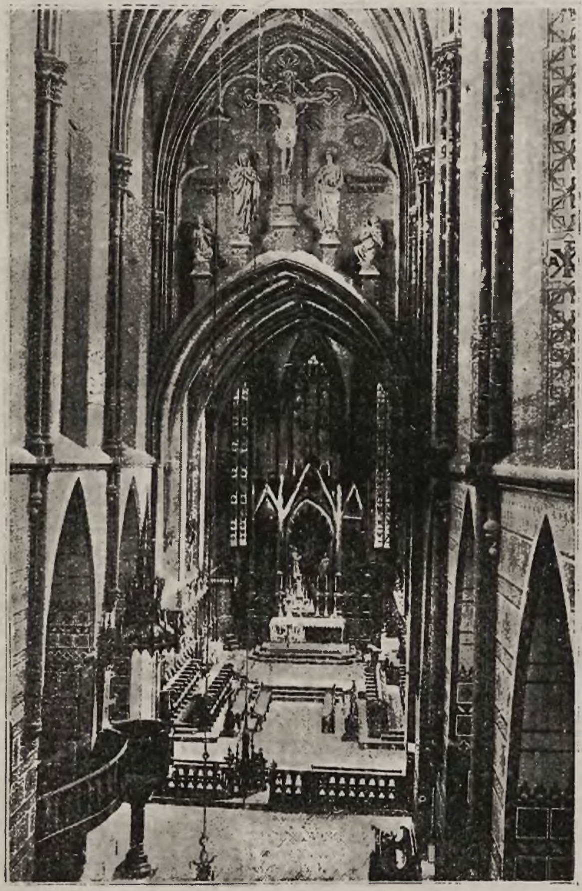
Ogród botaniczny w Dublanach, Instytuty botaniczne we Lwowie i Krakowie, przez niego założone, wreszcie długi szereg prac naukowych pierwszorzędnej wartości, to faktycznie ślady pracy Zmarłego „w których cząstkę swej duszy zostawił".

Cześć Jego pamięci!

Z ziemi kujawskiej.

Stara dzielnica nasza — ziemia kujawska, która ongi była klejnotem w koronie Łokietków i Kazi-

mierzów, w ostatnich wiekach niczem nadzwyczajnem w historyi się nie zapisała. Odruchowo tylko brała udział w dziejowych wypadkach, które naród nasz przechodził, jednak znaczniejszego wpływu na bieg tych wypadków nie wywierała.



Z ziemi kujawskiej: Wnętrze katedry we Włocławku.

Stare, leżące nad Wisłą, biskupie miasto Włocławek, które jest stolicą Kujaw, dopiero w drugiej połowie XIX. stulecia zaczęło się rozbudowywać i upiększać. Dziś Włocławek, to jedno z większych miast Królestwa, ożywione przemysłem i handlem. Miasto jest ładnie rozłożone nad Wisłą, posiada piękny bulwar, a na przeciwległym brzegu leży górzysta i zalesiona miejscowość zwana „szpetalem". Wspaniały katedralny kościół jest chlubą Włocławka i całej okolicy. Oprócz katedry Włocławek posiada jeszcze trzy inne kościoły, a mianowicie fare, klasztor O. O. Reformatów i mały kościół św. Witalisa.

Przy katedrze istnieje seminaryum duchowne. Gmach ten wybudowano niedawno w stylu gotyckim i jest jednym z piękniejszych gmachów Włocławka.

Włocławek ma kilka fabryk żelaznych, papiernię, fabrykę fajansu, parowe cegielnie, nie licząc drobnych fabryczek jak papy, tartaków i młynów. Jakiś czas fabryki stały, ostatnio prawie wszystkie działalność swą wznowiły.

Ziemia kujawska była widownią walk w jesieni 1914 roku, lecz Włocławek nic na tem nie ucierpiał.

Pod wrażeniem ostatnich dziejowych wypadków, które naród nasz przechodzi, życie polityczne na Kujawach zaczyna się budzić i rozwijać.

Wiele do tego przyczynili się stacyonowani po miastach i wsiach kujawskich Legioniści polscy, którzy swą bytnością bardzo zainteresowali ludność okoliczną i wciągnęli ją do działań politycznych. Między innemi odbyły się tu liczne wiece i uroczystości narodowe.

Wspaniała uroczystość odbyła się tu z końcem lutego, a mianowicie poświęcenie pomnika na miejscu spoczynku poległych bohaterów 63. roku. Zawiązany komitet z okolicznych ziemian zajął się postawieniem pomnika i urządzeniem uroczystości, która wypadła wspaniale. W uroczystości brali udział: duchowieństwo, ziemianie, Inspektorat werbunkowy z Włocławka, garnizon Legionistów i tysiączne rzesze okolicznej ludności. Msze polową odprawił i podniosłą mowę wygłosił ks. dr. Panaś, kapelan Legionów polskich. Pochód narodowy, uroczysty wieczór i wiec polityczny w sali cukrowni Dobre zakończył uroczystości.

Z frontów bojowych.

Ciągle jeszcze wśród krytyków militarnych toczy się dyskusya na temat odwrotowego manewru Niemców nad potokiem Ancre. Przypadł on dla Francuzów i Anglików bardzo nie w porę, gdyż wówczas właśnie, gdy chcieli się pokusić o przerwanie frontu niemieckiego, zapomocą gruntownego uderzenia.

Przy tej sposobności wyłoniły się tu i ówdzie bardzo instruktywne uwagi o technice przerwania frontu, jaką wytworzyła dopiero tocząca się wojna. Równa to się wprawieniu w ruch maszyny, której nic nie zdołałoby powstrzymać. Aby ona mogła spełnić swe zadanie, musi być w najdrobniejszych szczegółach z jak największą ścisłością wypracowana. Najmniejsza niedokładność naraża ją na rozbicie.



Z ziemi kujawskiej: Katedra we Włocławku.

Artyleryi przypada przy przerwaniu frontu główne zadanie. Należy ściągnąć jak najbardziej olbrzymie jej masy na pozycye i każdej grupie wyznaczyć jak najakuratniej specyalne zadania, aby ciężka artylerya nie mieszała się w akcyę polowej, tej zaś znowu nie bróździły miotacze min. A instrukcye te



Ruiny miejscowości Malancourt u stóp wzgórza 304. na zachodnim froncie.



Z frontów bojowych: Pogotowie austryacko-węgierskiej piechoty na włoskim froncie.

nie mogą oprzeć się wyłącznie na teoretycznej podstawie Potrzeba wprost przeprowadzić mozolne czynności przygotowawcze; potrzeba głównie zapomocą lotniczych rekonesansów wybadać, jak przebiega linia nieprzyjacielska, oznaczyć ustawienie nieprzyjacielskiej artyleryi, drogi dojazdowe do frontu nieprzyjacielskiego, główne linie dowozu i t. d. Dopiero, mając ten materyał w ręku, wiedząc dokładnie, jaki kierunek obrać ma ogień, można przedsięwziąć próbę przerwania frontu nieprzyjacielskiego. A gdy już działa zagrzmią i druzgocącym wszystko gradem



Z ziemi kujawskiej: Typ włościanina



Z frontów bojowych: Część terenu nad Sommą, skąd cofnęli się Niemcy, zniszczona zupełnie działaniem ognia artyleryjskiego

żelaza zasypią nieprzyjacielskie pozycye, rzeczą jest wodza uszykować odpowiednio do wyników piechotę, która dokonać ma istotnego przerwania frontu, wyważyć bramę nieprzyjaciela, wtargnąć przez nią w głąb i od tyłów zaszedłszy, zmusić wrogie szeregi do ucieczki, o ile nie uda się ich osaczenie.

Łatwo zrozumieć więc, ile czasu i trudów wymaga przysposobienie takiej akcyi.

A teraz wyobraźmy sobie, że jeden z głównych jej warunków odpada, że nieprzyjaciel z własnej woli, chyłkiem opuści stanowiska, na które przygotowywał się atak i zajmie głębiej wstecz linię, należycie ku temu celowi przysposobioną. Wówczas oczywiście cały program w łeb bierze.

Tak zaś właśnie stało się w przestworzu potoku Ancre. I jest to zupełnie nowy element bojowy: odjęcie wiatru żaglom nieprzyjacielskim. Ruchu tego nie można porównać nawet z praktykowanem kilkakrotnie w ciągu obecnej wojny odłączaniem się od nieprzyjaciela, czemu prawie stale towarzyszyła znaczna strata terytoryalna. Tu traci się zaledwie kilka kilometrów kwadratowych, a w zamian zyskuje się zupełną swobodę ruchu i zupełną pewność, że przygotowywane potężne uderzenie stało się bezprzedmiotowem. Angielskich i francuskich wodzów zaskoczył ów manewr zgoła niespodzianie, tem niespodzianiej, że sami nie zdobyliby się pewno na coś podobnego. Dobrowolne bowiem ustąpienie, choćby z najdrobniejszego płatu ziemi, nie dałoby się pogodzić z ich próżnością, w imię której ponieśli już nieraz ofiary godne lepszego celu.

Jak skutecznym okazał się ruch odwrotowy



Z frontów bojowych: Obóz wojska austryacko-węgierskiego w Karpatach lesistych. Kwatera komendy jednego z pułków.

Niemców nad potokiem Ancre, dowodem choćby okoliczność, że jeszcze 20. lutego opuścili Niemcy swe pierwotne pozycye w tamtej stronie, a dopiero biuletyny z 11. marca wspominają o nowych atakach, na domiar połączonych z klęską nieprzyjaciela, któremu wzięto 11 oficerów i 174 żołnierzy do niewoli. Zatem trzeba było pełnych trzech tygodni czasu, by Anglicy znaleźli się w możności wszczęcia akcyi artyleryi na nowo.

Niemiecki manewr nie zawiódł. Przyprawił nieprzyjaciela o kłopot, wzmocnił zaś własną Niemców pozycyę, wyrównawszy linie, zająwszy stanowiska, doskonale przedtem pobudowane. Niemcy bez obawy oczekiwać mogą na próbę przerwania frontu, jeśli nieprzyjacielowi zechciałoby się podjąć ją na nowo w tem miejscu.

Z innych działań militarnych należy wspomnieć o sukcesie wojsk austro-węgierskich na froncie włoskim. Po dokładnem przygotowaniu artyleryjskiem wpadły oddziały 100 p. p. do stanowisk nieprzyjacielskich pod Biglia. Zabrano 500 jeńca, w tem piętnastu oficerów, ponadto wpadły w ręce zwycięzców jeden karabin maszynowy i jeden miotacz min.

Biglia leży około sześciu kilometrów na południe od Gorycyi na północnym brzegu rzeki Wippach. Włoski sztab generalny w komunikacie swym kreśli wcale wyraziście obraz tej walki. Zaznaczono tam, że w Alpach julijskich, głównie między grzbietem Faiti a Wippach, przyszło do starć gwałtownych. „Nieprzyjaciel — czytamy dalej — zniszczywszy nasze (włoskie) linie obronne, wymierzył dwa potężne uderzenia w kierunku wyżyny 126, gdzie udało mu się obsadzić niektóre z naszych oszańcowań". Wymieniona tu wyżyna 126 wznosi się na południe od Biglii, na północnym, stromym brzegu Krasu. A więc przyznaje nawet biuletyn nieprzyjacielski, że wojska austro-węgierskie osiągnęły cel, do którego zdążał ich atak.

Dodajmy jeszcze, że dziarski 100 p. p., któremu udało się osiągnąć ów piękny sukces, złożony jest przeważnie z żołnierzy polskich, rekrutuje się bowiem w Cieszynie.

Na froncie arcyks. Józefa próżno usiłowali Rosyanie znów przyjść w posiadanie góry Magyaros, wznoszącej się do znacznej wysokości na północ od doliny Uz. Pożądanem uzupełnieniem zdobyczy sprzymierzeńców w terenie jest zajęcie silnie oszańcowanego grzbietu wzgórz na południe od wspomnianej doliny. Kilkakrotne kontrataki Rosyan nie sprowadziły zmiany położenia, przyprawiły tylko nieprzyjaciela o dalsze straty.

Na froncie zachodnim, w opróżnionej przez Niemców przestrzeni trwają walki dalej. Niemieckie straże tylne usiłują wstrzymać napór nieprzyjaciela. Z jakim skutkiem, okazuje choćby wynik starć z dnia 26. marca pomiędzy Lagnicourt a M r hies (dziesięć kilometrów na północny wschód od Bapaume). Przeszło tysiąc trupów angielskich pokryło pole walki. Oprócz tego przyszło do znaczniejszych starć na zachodnim brzegu Oise'y pod La Fere, w których krwawe straty ponieśli Francuzi. W miarę posuwania się, trafia nieprzyjaciel na coraz większe trudności; zwalnia się przeto tempo jego pochodu, gdyż nie tylko coraz większy opór Niemców, lecz ponadto zniszczone aż do stanu zupełnej nieużyteczności komunikacye w okolicy bagnistej, pełnej trzęsawisk, utrudniają posuwanie się naprzód.

Niemałe zajęcie obudziły ostatnie zdarzenia na egzotycznym froncie synajskim. Wojska tureckie dnia 28. marca zadały pod Gazą dotkliwą klęskę Anglikom. Bitwa rozpoczęła się dwa dni przedtem i wzięła obrót dla nieprzyjaciela wprost katastrofalny. W walce wzięły udział po stronie angielskiej cztery dywizye, liczna ciężka i lekka artylerya, jakoteż automobile pancerne. Nieprzyjaciel poniósł ciężkie straty i pozostawił na polu walki mnóstwo poległych. Około 200 ludzi, między nimi jeden oficer, dostało się do niewoli. Turcy zabrali jeden pancerny i jeden zwykły automobil. Pobity nieprzyjaciel cofnął się w kierunku południowo zachodnim.

Wzmianka o czterech dywizyach po stronie angielskiej — co równa się liczbie 60 – 80 tysięcy ludzi — wskazuje, że bitwa to była znacznych rozmiarów, a więc i zwycięstwo posiada doniosłe znaczenie. Gaza leży we wschodniej części półwyspu synajskiego, nieopodal wybrzeża morskiego, która to okoliczność jeszcze większą wagę przypisywać każe odniesionemu sukcesowi. Generalissimu sturecki Enver basza, *spiritus movens* całego militarnego organizmu Turcyi, słusznie chlubić się może dzielną swą armią, która uczestnicząc w bojach na tylu frontach, męstwa swego składa nieustanne dowody.



Seans telepatyczny w Krakowie: Hypnotyzer Harry Steinschneider.

Seans telepatyczny w Krakowie.

Nazwisko pana Harry Steinschneidera nie jest obce Krakowowi. W kołach spirytystycznych zyskał on już ustaloną opinię wybitnego fachowca w dziedzinie tej tajemniczej wiedzy, a kilka świetnych seansów w redakcyach miejscowych dzienników dowiodło, że p. Steinschneider jest wcale nie tuzinkowym okazem człowieka, rozporządzającego dziwną, nieznaną siłą ducha i woli.

Dnia 4. b. m. produkował się p. Steinschneider przed gronem zaproszonych osób. Seans uwieńczony został, jak zwykle, zupełnym sukcesem.

Z trudnych zagadnień telepatyi kontaktowej wymienić należy: znalezienie w kieszeni jednego z uczestników danego banknotu i odczytanie seryi i numeru, wyjęcie papierosa z papierośnicy nieznanej mu osoby i podanie go innemu, o kilka rzędów dalej siedzącemu panu. Dalej wyszukał on ukryty w sali dziennik, podał oznaczonej przez medium damie i wskazał odnośny artykuł do przeczytania.

Wreszcie rozwiązał trudne zadanie: wykrycia szpiega (zamarkowanego przez jednego z uczestników seansu), oznaczenia miejsc, które obserwował, wykrycia ofiary, przez niego zamordowanej, narzędzia mordu i śmiertelnej rany, zadanej ofierze.

Pan Steinschneider produkował się ponadto w wprawianiu w sen kataleptyczny kilku osób z pośród widzów i suggerowaniu im różnych uczuć i wrażeń.

Seans miał tem większą wartość naukową, ile że produkcye odbywały się w obecności i pod kontrolą grona lekarzy i psychiatrów.

P. Steinschneider jest rodowitym Wiedeńczykiem. Z zawodu dziennikarz, służy obecnie w szeregach armii i przydzielony jest do służby w obrębie twierdzy krakowskiej.



Profesor Zygmunt Szwarcenstein.

Prof. Zygmunt Szwarcenstein.

Znakomity skrzypek, prof. Zygmunt Szwarcenstein z Krakowa, rozpoczyna w bieżącym miesiącu tournée po Królestwie Polskiem, co niewątpliwie tamtejsi miłośnicy muzyki powitają z żywą radością. Swą wycieczkę artystyczną w obecnym sezonie rozpoczął prof. Szwarcenstein koncertem, który odbył się dnia 1. kwietnia w Dąbrowie na Śląsku. Cały dochód z tego koncertu ofiarował artysta na ratunek Domu polskiego w Morawskiej Ostrawie. Zarówno świetną grę subtelnego wirtuoza, jak i patryotyczną jego ofiarność publiczność nagrodziła entuzyastycznem wprost przyjęciem. — Nie ulega wątpliwości, że i dalsze koncerty prof. Szwarcensteina cieszyć się będą takiem samem powodzeniem.





Z ziemi kujawskiej: Uroczystość odsłonięcia pomnika na grobie powstańców 63. r. we Włocławku
Przemówienie kapelana Legionów ks. Panasia. Salwa honorowa.

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

10

— Muszę panu zwrócić uwagę, że postępowanie moje jest logiczne i uprawnione. Ze względu jednak na przyjaźń, łączącą mnie z panem Ormond, chciałem odsunąć od niego przykrość skandalu, jakim by było pańskie aresztowanie. Odpowiem więc szczerze na pana zapytanie.

Młody człowiek skłonił się w milczeniu.

— Powody, które mogą stwierdzić pana winę, są następujące. — ciągnął dalej pan Ferris — Nie potrzebuję dodawać, że posiadamy w rękach wszystkie dowody, oskarżające pana.

Wiadomem jest, że, aby zużytkować praktycznie wynalazek nowy, obmyślany przez pana — brakowało panu pewnej sumy, zbliżonej bardzo wysokością do oszczędności pana ciotki i że pragnął pan gorąco sumę tę uzyskać.

Wyjechał pan z Buffalo 27. listopada rano i przybył do Montheith. Przeszedłszy las, dostał się pan do szopy znajdującej się w pobliżu Białego Domku i tam pan noc spędził. Przedtem jednak miał pan z panią Clemmens rozmowę, niebardzo serdeczną i spokojną.

Nazajutrz, w dniu zbrodni, po raz drugi odwiedził pan swoją ciotkę. Idąc do Białego Domku, wybrał pan, dla przyczyn panu wiadomych trudne przejście przez moczary, zamiast iść prosto przez miasto.

Przyznać pan musi, panie Morgan, że te fakta zebrane razem są natury uwzględniającej podejrzenia najcięższe?

Cyryl Morgan potrafił tak zapanować nad sobą, że z jego spokojnej twarzy pan Ferris nic wyczytać nie mógł.

— Mówił pan o dowodach. — wyrzekł poważnie — Na czem opiera pan twierdzenie, że przepędziłem noc w szopie w lesie?

— Widziano pana w przededniu zbrodni w lesie, w towarzystwie pewnej, młodej panny. Niech mnie pan nie zmusza do wypowiedzenia jej nazwiska. Czy pan ma mi co odpowiedzieć na to?

— Nic zgoła! — brzmiała pogardliwa odpowiedź.

— Wiem, że nocował pan u ciotki swojej, a w przeciwieństwie są ślady, wskazujące, że pan tę noc przepędził w szopie.

Mógłbym panu wskazać krzaki, gdzie pan wyciął kilka gałęzi mających służyć panu za posłanie, miejsce, gdzie pan usiadł, aby skreślić na kawałku dziennika, to był „Kuryer z Buffalo“, o ile się nie mylę, pewne bardzo znaczące cyfry, przy pomocy niebieskiego ołówka, ot, takiego właśnie, jaki widzę teraz w pana kieszeni.

— To wszystko niepotrzebne... Widzę, że pan jest dobrze poinformowany. Czy również widziano mnie nazajutrz rano u ciotki mojej? Czy i tam znaleziono ślady mojej obecności? — zapytał młody człowiek z gryzącą ironią w głosie.

Pytania te, zadane wyzywająco, zmieniły dotychczasowe dobre usposobienie prokuratora względem oskarżonego.

— Nie widzę na ręce pana pierścienia z dyamentem, który przez pana został przyniesiony na ową schadzkę w lesie. — podjął pan Ferris surowo — Czyżby to był przypadkiem ten, znaleziony w jadalnym pokoju pani Clemmens po spełnieniu zbrodni?

Po raz pierwszy od rozpoczęcia tej rozmowy młody człowiek zdradził pewne wzruszenie.

— Skąd panu wiadomo — zapytał żywo — że miałem jeszcze ten pierścień po owem spotkaniu?

— Co do tego nie mam cienia wątpliwości — odparł z przekonaniem pan Ferris — miss Darnell...

— Miss Darnell? — zawołał Cyryl Morgan pogardliwie — Oh, miss Darnell.

— Tak, miss Darnell — powtórzył spokojnie prokurator — utrzymuje, że zwróciła panu pierścień, który jej pan ofiarował.

— Ah!

Cyryl Morgan zamyślił się głęboko, poczem postąpił krok naprzód i opierając rękę na krawędzi biurka, za którem siedział pan Ferris, wyrzekł głosem wzruszonym, jednakże czystym i dobitnym:

— Widzę, że zdanie pana co do mojej osoby jest już wyrobione. Pozostaje mi tylko udzielić panu wyjaśnień, które wydają mi się konieczne. Przedewszystkiem oświadczam panu, że nie zamordowałem mojej ciotki. Przyznaję, że byłem u niej, przyznaję, że przeszedłem tak, jak pan twierdzi, przez lasy i trzęsawiska, aby ominąć miasto. Miałem do tego swoje powody, które nie mają nic wspólnego ze zbrodnią. Miałem zamiar, widząc się z ciotką, przedstawić jej mój wynalazek i nakłonić ją do udzielenia mi pomocy. Spotkała mnie kategoryczna odmowa, jak również następnie nie powiodło mi się przy miss Darnell, która nie chciała przyjąć ofiarowanego jej przezemnie pierścionka. Wszystko to stało się w przededniu zbrodni. Ta podwójna porażka spowodowała silne zniechęcenie. Zamiast wsiąść na pociąg odchodzący do Buffalo, przebyłem tę noc w szopie węglarzy. Spędziłem tam nawet większą część następnego przedpołudnia. Ale zaprzeczam stanowczo jakobym widział się raz jeszcze z ciotką, a tembardziej usiłował ją zamordować.

Wymawiając te ostatnie słowa, młody człowiek patrzał na pana Ferris pewnym i dumnym wzrokiem.

— Zaprzeczasz pan, że nie wchodziłeś w dzień zbrodni do Białego Domku?

— Zaprzeczam kategorycznie.

— W takim razie zadaje pan najoczywistszy kłam oświadczeniom miss Darnell.

Cyryl Morgan przyjął milczeniem te słowa.

— Miss Darnell utrzymuje, że zwróciła panu pierścień, który jej pan ofiarował. Jeżeli jest tak rzeczywiście, w jaki sposób przedmiot ten nazajutrz rano znalazł się w jadalnym pokoju ciotki pana, skoro pan go nie miał na palcu?

— Powiedziałem to, co miałem do powiedzenia! — oświadczył stanowczo Cyryl Morgan.

Pan Ferris zaczął się niecierpliwić. W głębi duszy pragnął wierzyć w niewinność młodego człowieka.

— Zdaje się, że pan nie ma ochoty dopomódz mi w odkryciu prawdy. — wyrzekł niechętnie — Niechże mi pan chociaż wytłumaczy, co pan uczynił z pierścieniem po odebraniu go z rąk miss Darnell? Czy włożył go pan na palec? Czy go pan gdzie rzucił, lub może schował do kieszeni? Jeżeli to nie pan go zgubił w Białym Domku, to oczywiście ktoś inny. Pan powinien mi pomódz do odkrycia tej osoby, panie Morgan.

— Nie mogę panu nic powiedzieć w tym względzie — odparł sucho młody człowiek.

Pan Ferris przyjrzał mu się uważnie. Twarz Cyryla Morgan spokojna była i niewzruszona.

— Byrd. — zwrócił się prokurator po długiem milczeniu do detektywa — Pan Morgan zechce się zapewnie udać do hotelu, lub też będzie wolał bezzwłocznie odjechać pierwszym pociągiem do Buffalo.

Na te słowa Cyryl Morgan cofnął się zdumiony.

— Pan mi daje wolność powrotu do Buffalo? — zawołał, impulsywnym ruchem wyciągając rękę do prokuratora.

Ale natychmiast odwrócił się, zaczerwieniony i zmieszany tym porywem.

— Nie mówię jednak, że pan nie będzie strzeżonym. — podjął pan Ferris — Jestem prokuratorem i obowiązkiem moim jest poszukiwać mordercę pani Clemmens, a nie kryję, że odpowiedzi i wyjaśnienia nie były tak szczere i jasne jakbym tego pragnął.

— Znajdzie mnie pan zawsze w biurze mojem w fabryce. — odpowiedział sucho Morgan.

Następnie ukłonił się ceremonialnie i wyszedł z głową dumnie podniesioną.

— Ten człowiek jest niewinny! — wyrzekł pan Ferris do Byrda, po wyjściu Morgana.

— Takie jest przekonanie pana prokuratora? — zapytał detektyw ciekawie.

— Tak. Człowiek winny nie podaje w ten sposób nieobliczalny ręki prokuratorowi, który go oskarża o popełnienie zbrodni.

Byrd ze smutkiem spojrzał w stronę drzwi i westchnął ciężko.

— Cóż to się panu stało, Byrd. — zapytał pan Ferris, uśmiechając się. — Nad czem się tak głęboko zamyśliłeś?

— Myślę, że trudno będzie wpoić w Hickory'ego przekonanie o niewinności Morgana. — odparł detektyw poważnie.

Pan Ormond.

Słowa Byrda nie pozostały bez wrażenia na umyśle pana Ferris. Bo prawdą było rzeczywiście, że Hickory nie chciał wierzyć w niewinność nowo oskarżonego.

Czyżby detektyw miał specyalne powody do tego, a nie chciał jeszcze ich oficyalnie objawić?

Pan Ferris postanowił więc wybadać ajenta, aby być pewnym sytuacyi.

— Hickory — rzekł do niego jeszcze tego samego dnia. — Co panu daje do myślenia, że mordercą pani Clemmens jest Cyryl Morgan, a nie Gordon Hildreth?

Pytanie to silnie zaambarasowało ajenta. Nie chciał bowiem z jednej strony zerwać ugody z Byrdem, opowiadając prokuratorowi wydarzenie, które miało miejsce w szopie węglarzy, a z drugiej strony rozumiał, że policya musi mieć w podejrzeniu siostrzeńca pani Clemmens. Znalazł wkońcu wyjście pośrednie.

— Panie prokuratorze — zapytał z kolei — kiedy pan udał się do miss Darnell, w jakiem usposobieniu znalazł ją pan?

— Była bardzo przybita i smutna.

— Czy nie odebrał pan wrażenia, że jest przekonaną o winie pana Cyryla Morgan?

— Tak, oczywiście. Czyżby inaczej sama dobrowolnie poczyniła zeznania przeciw niemu?

— Zdaje mi się, panie prokuratorze, że zeznania te są nadzwyczaj ważne, zważywszy na uczucia miss Darnell względem tego młodego człowieka.

— I ja również jestem tego samego zdania. — westchnął pan Ferris, którego niepokój wzmógł się jeszcze.

Chociaż pragnął gorąco ochronić miss Darnell i adwokata Ormond, był siłą faktów zmuszony przyznać, że zachowanie się siostrzeńca pani Clemmens nie zasługiwało na pobłażliwość, jakiej dał dowody względem niego.

Po namyśle, pan Ferris postanowił uwiadomić o wszystkiem sędziego śledczego, zapoznać go z podejrzeniami, ciążącemi na młodym mężczyźnie i pozostawić mu decyzyę aresztowania, jeżeli to uzna za stosowne.

W ten sposób prokurator miał nadzieję uchylić się od uczynienia przykrości sławnemu adwokatowi. Ale nie liczył na nieszczęśliwy zbieg okoliczności, lubiący w takich razach zagrać wybitniejszą rolę.

Zaraz nazajutrz pan Ormond złożył mu wizytę.

— O czem to się dowiaduję, mój przyjacielu — rzekł, wchodząc — Podobno podejrzywa pan drugą jakąś osobę o zamordowanie pani Clemmens?

Prokurator odwrócił głowę, zmieszany cokolwiek i niezadowolony.

— Byliśmy zawsze dobrymi przyjaciółmi, Ferris, nieprawdaż, pomimo licznych utarczek w sali sądowej, kiedy pan występowałeś jako oskarżyciel, a ja jako obrońca. Powołując się więc na tę dawną przyjaźń naszą, pozwalam sobie na jedno pytanie. Czy odpowie mi pan szczerze?

— Słucham pana.

— Powiedz mi pan, czy podejrzenia swoje opierasz na wiadomościach, zebranych przez pana samego, czy też podsunięte panu zostały przez inne osoby?

Pan Ferris nie mógł się mylić co do znaczenia tego zapytania.

— Na jednem i na drugiem. — odpowiedział poważnie.

—Ośmielę się jeszcze zapytać, czy na tą zmianę pańskiego przekonania wpłynęła również osoba miss Beatryczy Darnell?

— Rzeczywiście, mój przyjacielu — zaczął prokurator coraz więcej zmieszany.

Pan Ormond przerwał mu natychmiast.

— Posłuchaj mnie Ferris. — rzekł gwałtownie — Pozwolę sobie na jedną radę. Należy z pana strony z wielką rezerwą przyjmować zeznania miss Darnell w tym względzie. Cóż ona wiedzieć może o morderstwie pani Clemmens? Co zaś do tego Cyryla Morgan...

Tu adwokat przerwał znowu i uczynił ruch ręką, mający świadczyć, że pomiędzy młodą dziewczyną a inżynierem nie mogło być nic wspólnego.

Od tej chwili prokurator zaś zrozumiał, że pan Ormond był zupełnie nieświadomy uczucia, łączącego miss Beatryczę z Cyrylem Morgan. A w tym wypadku zadanie jego było jeszcze cięższe do przeprowadzenia.

— Mój kochany Ormond — wyrzekł po chwili milczenia — chociaż się panu to może wydać dziwnem, jednakże miss Darnell mogła nam dostarczyć wiadomości bardzo ważnych. Powie to panu sama zapewne, jeżeli ją o to zapytasz. Nie mogliśmy lekceważyć podobnych zeznań, sam pan powinien to zrozumieć i dlatego musiałem o nich uczynić wzmiankę w raporcie, który wysłałem do sędziego śledczego, załączając mu równocześnie akta tej sprawy.

Podczas tych słów widocznem było, że pan Ormond siłą woli panował nad sobą, aby nie zdradzić niepokoju i wzruszenia.

— Czy jest pan całkiem pewny — zapytał z gryzącą ironią — że Beatrycza nie przesadziła ważności tych faktów?

Znaczący ton tych słów zaintrygował silnie prokuratora.

— Co pan przez to rozumie? — zapytał żywo.

Ale już pan Ormond żałował, że zdradził w ten sposób swoją myśl tajemną. Nie odpowiedział na zapytanie pana Ferris, tylko wyrzekł już swobodnym i spokojnym głosem:

— W każdym razie interwencya mojej kuzynki przyczyniła się do obudzenia w panu podejrzeń co do osoby pana Cyryla Morgan?

— Niekoniecznie. Detektywi zajmowali się nim już, kiedy objaśnienia miss Darnell potwierdziły ich domysły.

— To objaśnienie miss Darnell dała panu dobrowolnie?

— Tak jest.

Pan Ormond dowiedział się już wszystkiego, czego pragnął, pożegnał się więc ze swoim przyjacielem i wyszedł. Nie uznał za stosowne zwierzyć prokuratorowi okoliczności, które kazały mu wątpić w prawdziwość słów młodej dziewczyny.

— Jeszcze będzie czas na to. — myślał — Będę mógł interweniować wówczas, kiedy okaże się, że Beatrycza w zamiarze ratowania człowieka kochanego, wymyśliła dowody, oskarżające siostrzeńca pani Clemmens.

Jednakże poza tem wszystkiem, ciężka, gryząca zazdrość wcisnęła się w duszę adwokata.

— Ona tak kocha tego przeklętego Hildretha — rozumował z goryczą — że, aby mu oddać przysługę, nie cofa się nawet przed krzywoprzysięstwem.

Tego samego dnia wieczorem wiadomość o aresztowaniu Cyryla Morgan rozbiegła się po mieście. Niepokój pana Ormond wzrósł do kulminacyjnego punktu.

— Muszę pomówić z Beatryczą. — pomyślał.

W kwadrans później wprowadzono go do salonu willi „Darling“. Pan Ormond był tak zajęty ciężkiemi myślami jakie go dręczyły, że nie usłyszał wejścia miss Darnell. Dopiero jej głos poważny powrócił mu przytomność umysłu.

— Czego pan żąda odemnie? — zapytała stając przy nim.

— Coś ty uczyniła, Beatryczo? — wyrzekł Ormond bolesnym i zarazem surowym głosem — Od wróciłaś podejrzenia policyi od pana Hildretha, rzucając je na inną osobę. Co to ma znaczyć?

Lekki rumieniec zaróżowił bladą twarz młodej dziewczyny.

— Dlaczego przychodzi mnie pan torturować jeszcze więcej? — zapytała słabym głosem. Oświadczyłam, opuszczając dobrowolnie dom pana, że mam przed sobą ważne zadanie do spełnienia. I to zadanie musi wykopać przepaść nie do przebycia między nami.

— To nie jest żadna odpowiedź, Beatryczo! — zawołał pan Ormond, unosząc się. Wytłumacz mi przedewszystkiem to, co zrobiłaś!

— Co zrobiłam? — powtórzyła miss Darnell — Czy mi pan sam nie powiedział, że, aby uratować pana Hildretha, trzeba niezbitego dowodu jego niewinności, lub też winy drugiego? Pierwszy z tych sposobów był niemożliwym do urzeczywistnienia dla mnie, zrozumiałam więc, że obowiązkiem moim jest zwrócić uwagę władz w inną stronę — w stronę siostrzeńca pani Clemmens. Czyżby inaczej pan Hildreth mógł być uratowanym?

— Nie widzę wcale tej konieczności. — odparł gorzko pan Ormond — Nie rozumiem również, jak mogłaś ty, Beatryczo, dać się do tego stopnia oślepić miłością do tego człowieka, który nie jest jej godzien. Jak mogłaś zapomnieć się w tak szalony i tak nikczemny sposób i rzucić na niewinnego ciężar oskarżenia ciążący na tamtym.

Wyraz szalonej rozpaczy wykrzywił twarz miss Darnell.

— Czy pan nie rozumie? — rzekła ledwie dosłyszalnym głosem.

— Co mam zrozumieć, Beatryczo?

— Że... że pan Hildreth jest niewinnym, a nie tamten... Powiedziałam to, co jest, nie kłamiąc wcale.

Pan Ormond uśmiechnął się drwiąco.

— Przypuśćmy nawet, że powiedziałaś prawdę — odparł nerwowo — wytłumacz mi jednak, dlaczego do tej pory zwlekałaś z tem oskarżeniem, tak cennem dla człowieka, którego kochasz?

Mówiąc to, pan Ormond bacznie śledził wyraz twarzy Beatryczy, chcąc podchwycić jakie jego słowa uczyniły wrażenie. Ale młoda dziewczyna nie zmieszała się tak, jak się tego spodziewał i odpowiedziała spokojnie:

— Czy rzeczywiście życzy sobie pan tego wyjaśnienia? A zresztą, dlaczego nie! Wkońcu i tak się pan o tem dowiedzieć musi. Jeżeli tak długo ukrywałam to, co wiedziałam, to dla tej przyczyny, że nie kocham pana Hildretha, ale...

— Kogo, Beatryczo, kogo?

— Nie zgaduje pan jeszcze? — szepnęła miss Darnell, spuszczając oczy pod siłą wzroku pana Ormond — Ten człowiek... to... Cyryl Morgan!...

— Oh!

Zdumienie, wściekłość, rozpacz, wszystkie najgwałtowniejsze uczucia, które niepokoiły umysł pana Ormond, znalazły wyraz w tym wykrzykniku.

Długie milczenie zaległo salon.

Adwokat, zamiast puścić wolny bieg pytaniom, cisnącym mu się na usta, milczał, aby pokonać pierwszy wybuch wzruszenia.

Zniżając głos, jakgdyby w obawie, że ktoś jej słowa posłyszeć może, Beatrycza odpowiedziała po chwili:

— Nie tylko pan Hildreth wchodził do Białego Domku w ten dzień fatalny. Cyryl Morgan znajdował się tam również przed południem.

— Skąd wiesz o tem?

— Pierścień, znaleziony w jadalnym pokoju, do niego należał. Miał go od swojej matki, a w przeddzień, w lasach, sąsiadujących z mieszkaniem pani Clemmens, chciał go wsunąć na moją rękę, jako dowód naszych zaręczyn.

— Ty... ty, Beatryczo, spotkałaś się z tym człowiekiem na dzień przed zamordowaniem pani Clemmens?

— Tak!

— A nazajutrz Cyryl Morgan pierścień ten zgubił u niej?

— Tak!

Pan Ormond zapadł w głębokie zamyślenie. Przechadzał się wzdłuż salonu, nie mówiąc ani słowa. Nareszcie stanął przed młodą dziewczyną i odezwał się z gorzką ironią:

— A więc wystarczającem było dla ciebie zna lezienie w domu pani Clemmens pierścionka, będącego własnością tego człowieka, aby oskarżyć go o zamordowanie ciotki?

— Nie. — zaprzeczyła żywo miss Darnell — Fakt ten świadczy tylko, że pan Morgan był w Białym Domku w dniu zbrodni. Ale niech pan sobie przypomni ostatnie słowa pani Clemmens. Wspomniała właśnie o jakimś pierścieniu, nieprawdaż? Pozatem wiem, że pan Morgan pragnął bardzo otrzymać od ciotki natychmiast te pięć tysięcy dolarów, które miał po niej odziedziczyć, jak również wiadomem mi jest, że chciał użyć tych pieniędzy w celu wyeksploatowania swojego wynalazku, coby było umożliwiło prędzej nasz związek.

— On sam ci o tem mówił?

— Tak.

— Beatryczo — wyrzekł pan Ormond z wysiłkiem — jeżeli nie chcesz wysłać tego człowieka na stracenie, tak, jak już spowodowałaś jego aresztowanie, to radzę ci nie wyjawiać przed nikim tego, co on ci mówił. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem.

— Więc co postanawiasz na przyszłość?

— Chodzi przedewszystkiem o ratowanie niewinnego — odpowiedziała stanowczym głosem młoda dziewczyna — jakimkolwiek byłby los tamtego!

— Czy nie masz mi nic więcej do powiedzenia, Beatryczo? — zapytał pan Ormond po chwili.

Miss Darnell obrzuciła go szybkiem spojrzeniem i spuściła głowę.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia — wyrzekła cicho.

W głosie jej adwokat odczuł niepokój i wahanie.

— Beatryczo — rzekł, podchodząc do niej — radzę ci, zastanów się dobrze nad tą odpowiedzią.

— Nie cofam jej! — odpowiedziała głośniej.

Wyraz ulgi wybił się na twarzy pana Ormond.

— Przekonamy się wkrótce — rzekł powoli — na którego z tych dwóch oskarżonych sędziowie przysięgli wydadzą wyrok.

— Czy może być jeszcze jaka wątpliwość w tym kierunku?

— W takich wypadkach nie można nigdy być pewnym. Zdaje mi się, że i tu i tam ważną rolę grają uprzedzenia i okoliczności. To jeszcze nie racya, że ty uważasz pana Morgan za winnego.

— Nie uważam, niestety — szepnęła młoda dziewczyna — ale wiem. wiem z pewnością!

Pan Ormond ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na tę przerwę:

— Sędzia uzna go również winnym. Hildreth jest człowiekiem, na którego przeszłości ciążą już pewne plamy, dowody przeciw niemu są bardzo obciążające, a to usiłowane samobójstwo jeszcze bardziej dotknęło jego opinię. Zresztą wkrótce rzecz się cała wyjaśni, w tym dniu przekonamy się — dodał poważnie adwokat pod wpływem gorącej miłości dla swojej pupilki — że pan Henryk Ormond koniec położyć potrafi tej chaotycznej sprawie.

Wymówił te ostatnie słowa z taką pewnością siebie i energią, że Beatrycza odczuła lekki przebłysk nadziei.

— Jesteś pan najszlachetniejszym z ludzi. — szepnęła wzruszona wznosząc na pana Ormond wzrok pełny wdzięczności.

Adwokat byłby wiele poświęcił w tej chwili, aby odgadnąć wszystkie uczucia, któremi przepełniona była dusza młodej dziewczyny.

— Beatryczo. — rzekł, ujmując jej rękę — Jest jeszcze jedno zapytanie, które pragnę ci zadać.

— Słucham. — odpowiedziała z uległością.

— Jakikolwiek byłby wynik tego procesu, czy mogłabyś później jeszcze pomyśleć o poślubieniu Cyryla Morgan?

Bolesny dreszcz przebiegł jej ciało, jednakże odpowiedziała stanowczo:

— Nigdy... to niemożliwe...

— Nigdy! — powtórzył pan Ormond. — Czy naprawdę tak myślisz, Beatryczo?

— Dziwię się, że pan może zachować jeszcze pewne wątpliwości w tym kierunku.

— W takim razie, nie weźmiesz mi może za złe, że pragnę cię przekonać, że w żadnej chwili jeszcze przywiązanie moje do ciebie nie było tak głębokie, jak teraz. Jestem gotów poświęcić dla ciebie wszystko w świecie nawet dumę. Ja wyratuję Cyryla Morgan, Beatryczo, jeżeli tylko jest w ludzkiej mocy dokonać tego!

Błysk szalonej radości zajaśniał w oczach miss Darnell. Wzruszenie jej jednak było tak silne, że nie znalazła słowa, aby wyrazić panu Ormond wdzięczność swoją gorącą za tę szlachetną ofiarność. Adwokat zaś złożył na jej ręce pocałunek, pełny szacunku i wysunął się cicho z salonu, pozostawiając ją pod tem nieoczekiwanem wrażeniem.

Jeszcze tego samego wieczoru młoda dziewczyna odebrała od niego bilet tej treści:

— „Moja droga Beatryczo! Widziałem pana Morgan i postanowiliśmy obydwaj, że ja podejmę jego obronę. Pamiętaj o tem, że klienci moi prawie wszyscy po mojej obronie wychodzą zwycięsko. Ta myśl powinna Ci dodać odwagi. Jestem zmuszony jednak Ci powiedzieć, że jak tylko wymówiłem twoje imię, pan Morgan przerwał mi ostro: „Pragnę nie słyszeć więcej o miss Darnell.“ W słowach tych brzmiała taka pogarda i nienawiść, że musiałem się zastosować do jego woli.“

Czytając te ostatnie słowa, Beatrycza wybuchła spazmatycznym płaczem.

— Nienawidzi mnie!... Pogardza mną!... — szeptała rozpaczliwie — Niestety! Rozumiem go aż nadto dobrze. Ale musisz mnie raz jeszcze wysłuchać. Cyrylu! Zobaczymy się, choćby w obecności sędziów, którzy cię sądzić będą!

Rozprawa.

Małe miasteczko Sydney było silnie zaciekawione i podniecone. Z całego sąsiedztwa napływali ciekawi, aby śledzić rozwijającą się „sprawę Clemmens“ podczas rozpraw w sali sądowej.

Byrd w hotelu „pod złotym Lwem“, gdzie zarezerwował sobie pokoik, zajęty był z kolegą swoim Hickorym, omawianiem przebiegu pierwszego przesłuchania świadków i oskarżonego.

— No i cóż, Byrd? — pytał Hickory — Jakże się pan zapatruje obecnie na tę sprawę?

— Zdaniem mojem, przybiera zły obrót. — odpowiedział zapytany z namysłem.

— Zły obrót?

— Oczywiście, dla oskarżonego.

— Panu jednak jak widzę, zależy bardzo na tym młodym człowieku. — zauważył Hickory.

— To prawda.

— Wierzy pan w jego niewinność?

— Niekoniecznie i nie chciałbym wcale sprzeciwić się prawdzie, aby mu przyjść z pomocą.

— Jednakże trzeba przyznać, że to dzielny człowiek. — rzekł Hickory, zapalając fajkę — Czy pan zauważył szczerość jego odpowiedzi?

— Tak. — odparł krótko Byrd.

— A zaobserwował pan ten pogardliwy wyraz, który nie schodzi z jego twarzy?

— Tak. — powtórzył Byrd z podrażnieniem.

— Ciekawy jestem, co to ma znaczyć?

Byrd spojrzał z boku na detektywa i nie odpowiedział wcale.

— Pan tego nie odgadł? — indagował dalej niewzruszony Hickory, śledząc spojrzeniem kłęby dymu, rozchodzące się po pokoju.

— Nie.

— Nie jest to duma — ciągnął dalej Hickory w zamyśleniu — ani poza sztuczna, bo na to bym się nie dał wziąć. Widziałem już różnych oskarżonych w swojem życiu. Ale ten to doprawdy ciekawy okaz. Co pan myśli o nim, hę?

— Co mam myśleć? — oburzył się Byrd niecierpliwie — Ten Morgan, to chodząca zagadka!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z tygodnia.

Protest Oświęcimia i Zatora.

Dnia 2. bieżącego miesiąca odbył się w Białej zjazd reprezentantów wydziałów powiatowych i burmistrzów w sprawie protestu przeciw przyłączeniu ziem, stanowiących dawne Księstwo Oświęcimskie i Zatorskie, do Śląska austryackiepo. Przybyłych na zjazd powitał burmistrz Mayzel z Oświęcimia, który zjazd ten zainicyował; imieniem Polonii bialskiej zabrał głos dyrektor Dejmel z Białej. Po przemówieniach dokonano wyboru stałego Komitetu. Na prezesa powołał zjazd hr. Stefana Bobrowskiego, wiceprezesami wybrano p. Mayzla, Hana, Minkińskiego, dra Dziewońskiego i Dejmla, zaś w skład Komitetu weszli p. Orłowski. Merta, dr. Idziński, dr. Wereszczyński i prof. Koestlich. Nadto uchwalono zaprosić do Komitetu posłów sejmowych i parlamentarnych, tudzież postanowiono zwrócić się do konsystorza biskupiego w Krakowie z prośbą o wyznaczenie delegata do Komitetu wykonawczego. Po dyskusyi uchwalono zaprotestować uroczyście przeciw ewentualnemu przyłączeniu Księstwa Oświęcimskiego i Zatorskiego do Śląska austryackiego, domagać się przyłączenia ziem, stanowiących dawne Księstwo Cieszyńskie, do Galicyi, która, po zapowiedzianem przez manifest cesarski z dnia 5. listopada 1916 wyodrębnieniu, tworzyć będzie z temi ziemiami jedną wspólną, organiczną całość. Po posiedzeniu przedstawił się Komitet, z prezesem hr Bobrowskim na czele, marszałkowi krajowemu, p. Niezabitowskiemu, którego prosił o poparcie poruszonej sprawy.

Uwolnienie zakładników, wywiezionych z Austro-Węgier.

Prowizoryczny rząd rosyjski zarządził natychmiastowe uwolnienie pięciuset zakładników, wywiezionych przez władze rosyjskie z Austro-Węgier, uzasadniając to zarządzenie tem, że byłoby niesprawiedliwością trzymać w więzieniu ludzi, których jedyną winą jest to, że pozostali wiernymi swej ojczyźnie.

Proklamacya rządu rosyjskiego do Polaków.

Rewolucyjny rząd rosyjski wydał do Polaków proklamacyę, o której „Nowa Reforma“ podaje za „Dziennikiem Berlińskim“ następujące szczegóły:

W proklamacyi tej rząd rosyjski oświadcza, że „wolny naród rosyjski nie może pragnąć ujarzmienia narodu polskiego; uznaje on prawo narodu do wolności i niepodległości.

Wierny układom, zawartym z aliantami, wierny hasłu walki z militaryzmem niemieckim, uważa rząd prowizoryczny utworzenie niepodległego państwa polskiego, któreby się składało ze wszystkich części, w których przeważa ludność polska, za gwarancyę prawdziwego, trwałego pokoju w wolnej, odnowionej Europie. — Wolne państwo polskie ma być złączone z Rosyą unią wojskową.

Wolny i zjednoczony naród polski ma sam zadecydować o swym rządzie na zebraniu konstytuanty, która ma się zebrać w stolicy Polski, a ma być wybrana na zasadach powszechnego prawa wyborczego.

Konstytuanta rosyjska ma dać swe przyzwolenie na zmianę granic państwa rosyjskiego. które jest koniecznie potrzebne w celu odbudowania oswobodzonej Polski ze wszystkich trzech oderwanych części.“

Proklamacya powyższa nosi podpisy wszystkich ministrów rosyjskich.

Rota przysięgi rosyjskich ministrów.

Jak donosi Biuro Reutera, nowi ministrowie rosyjscy złożyli następującą przysięgę:

„Jako członek rządu tymczasowego, ustanowionego wolą ludów na prośbę Dumy, ślubuję i przysięgam wobec Boga Wszechmogącego i mojego sumienia, że będę wiernie i uczciwie służyć narodowi i państwu rosyjskiemu, jego wolność, cześć i godność nienaruszenie utrzymywać, we wszystkich moich działaniach i rozkazach obywatelską wolność i równość przestrzegać, tudzież we wszystkich zarządzeniach, które mi zostaną polecone, wystrzegać się wszelkich zakusów, pośrednio czy bezpośrednio dążących do restytucyi dawnych rządów.

Przysięgam, że użyję wszystkich moich sił, ażeby wypełnić wszystkie obowiązki, które przyjął na siebie rząd tymczasowy w oczach narodów. Przysięgam zarządzić wszystko, ażeby w jak najkrótszym czasie mogła być zwołana konstytuanta na podstawie bezpośrednich, równych i tajnych wyborów; a w ręce tego zgromadzenia złożyć wszystkie prawa, które wspólnie z innymi członkami rządu wykonywam i ugiąć się przed wolą narodu, której wyrazem jest zgromadzenie, we wszystkiem, co dotyczy formy rządu i zasadniczych praw państwa“.

Prasa wiedeńska o manifeście rosyjskim do Polaków.

„N. W. Tagblatt“ podkreśla, że pisma wszystkich krajów koalicyi będą się starały nadać sobie pozór, iż zaproszenie na rendez-vous w Warszawie biorą na seryo. Ale naród rosyjski z gorzkim uśmiechem uzna gadulstwo za to, czem ono jest Co się tyczy polskiego narodu, to zna on stosunki i ludzi za dobrze, aby ten apel nie oddziałał na niego wprost groteskowo.

„Reichspost“ wskazuje na to, że podczas, gdy mocarstwa centralne przyznają państwu polskiemu samodzielność, rosyjska odezwa obiecuje wprawdzie Polakom zwołanie polskiej konstytuanty do Warszawy, ale w tym względzie ostatnie słowo ma wymówić dopiero petersburska albo moskiewska konstytuanta. Kadeci oddawna byli za przyznaniem Polsce tylko skąpej autonomii, nawet rosyjscy socyalni demokraci niechętnie słuchają o całkowicie niezależnej Polsce. Z odezwy można także poznać, że Polacy, zamiast przyznanej im przez mocarstwa centralne własnej polskiej armii narodowej, znowu mają wejść w przyszłą armię rosyjską. Polacy — oświadcza dziennik — powiedzą sobie niewątpliwie, że najroztropniej uczynią, jeżeli z zewnątrz, jako nie zaangażowani sąsiedni obserwatorzy, wyczekają, jakie kształty przybiorą w samej Rosyi programy wolnościowe nowych rosyjskich władców.

Amnestya w Rosyi.

W sprawie „powszechnej“ amnestyi ogłoszonej w Rosyi przez rząd rewolucyjny, warszawski „Kuryer Polski“ zamieszcza bardzo interesujące uwagi. Znając stosunki prawne w Rosyi — pisze — łatwo można zdać sobie sprawę z rozciągłości tej amnestyi. Amnestye wogóle w Rosyi były zjawiskiem bardzo rzadkiem. Znano tam zwykle tylko amestye z powodu koronacyi. Pierwsza prawidłowa amestya w roku 1856 za Aleksandra II dotyczyła przestępstw politycznych w małym tylko stopniu. Amestya koronacyjna Aleksandra III. była obliczona na zmniejszenie kary zwykłym zbrodniarzom, na umorzenie małych spraw karnych i na drobiazgowe darowanie należności podatkowych. Politycznych więźniów prawie nie dotykała, jakkolwiek na jej mocy część zesłanych na Syberyę powstańców 1863 roku mogła po dwudziestoletnich udrękach wrócić do kraju. Amnestya koronacyjna Mikołaja II. w roku 1896 wzorowana była na amnestyi jego ojca. Była długa i blada, jak i amnestya w 1904 roku z powodu urodzin następcy tronu Aleksego. Zupełnie inny walor miała amnestya, przeprowadzona przez Wittego wraz ze słynnym manifestem październikowym w roku 1905, bo uwolniła przestępców politycznych, wskutek czego powróciło z Syberyi i z zagranicy wielu rewolucyonistów i spokojnych ludzi, ściganych za „nieprawomyślność“. Na kilka miesięcy przedtem ukaz tolerancyjny umorzył pewne wykroczenia religijne.

Po stłumieniu rewolucyi 1905 roku nie było w Rosyi amnestyi politycznych. Amnestya 1913 roku z powodu trzechsetlecia domu Romanowów przypominała znowu koronacyjne amnestye: była również długa i zawikłana, obracała się koło zwykłych przestępstw i dezerterów wojskowych, umarzała lub lub zmniejszała niektóre należności skarbowe, a prawie zupełnie milczała o „zbrodniarzach politycznych“, których po ostatniej rewolucyi namnożyło się bez liku. Obecna amnestya jest nietylko „powszechna“, ale przedewszystkiem polityczna; zapowiedziała umorzenie kar religijnych, wojskowych, agrarnych i za zbrodnie przeciw dawnemu rządowi.

Wynika stąd, że niezwłocznemu uwolnieniu podlegają wszyscy zesłani do katorgi posłowie czterech Dum. wszyscy uczestnicy wojskowych buntów w armii i marynarce z lat 1905 1906; dalej wszyscy inni z rozruchów rolnych 1906 roku i lat następnych; wszyscy skazani na katorgę. więzienie i osiedlenie za należenie do partyj socyalistycznych, do polskich, łotewskich, ormiańskich i innych partyj narodowych; księża i pastorzy, skazani za ochrzczenie dzieci rzekomo prawosławnych i wszyscy winni należenia do zakazanych sekt religijnych. Można bez przesady powiedzieć, że co najmniej 80 tysięcy skazańców opuści więzienie i będzie do praw przywróconych, a wśród nich znajdzie się z pewnością kilka tysięcy Polaków z Królestwa, którzy jęczeli w więzieniach jeszcze od roku 1905. Samo przez się rozumie, że powrócą także tysiące „zesłanych administracyjnie“ przez dawną ochranę. Ale to nie są właściwie „przestępcy“, tylko ofiary samowoli.

W „pawilonie ministrów“ w Dumie.

Współpracownik „Dnia“ miał sposobność zwiedzić w towarzystwie oficera służbowego „pawilon ministrów“ w Dumie, gdzie trzymano w więzieniu wielu wybitnych dostojników rosyjskich.

„Nie bez wzruszenia — opowiada — przygotowałem się do sceny historycznej: mam zobaczyć wspólnie zamkniętych tych, którzy jeszcze wczoraj byli wszechwładnymi panami wielkiego narodu.

Pawilon ministrów składa się z trzech ubikacyj, małego westybulu i małego gabinetu dla służby. W pierwszej sali, do której weszliśmy, znajdowało się piętnastu do dwudziestu więźniów, wysocy wojskowi dygnitarze; nadto ks. Szewachow, były pomocnik prokuratora synodu i senator Czaplińskij. Kiedy się pojawił oficer służbowy, więźniowie powstali. Na widok więźniów i okazałości komnaty ma się wrażenie, iż jest to uroczysta konferencya najznakomitszych jenerałów. — Na wielkim stole kancelaryjnym, pokrytym białym obrusem, leżą książki, wyjęte widocznie z biblioteki, znajdującej się w tej samej sali. — Na stole szklanki i resztki obiadu więźniów. W sali cisza grobowa; jeńcom jak najsurowiej zabroniono rozmawiać ze sobą.

Szef pałacu taurydzkiego odwiedza właśnie więźniów po raz pierwszy. Pyta, czy nie mają jakiego życzenia. Milczenie przerywa pierwszy były naczelnik Petersburga, jenerał Balk. W imieniu wszystkich prosi, aby im było wolno rozmawiać ze sobą, przyczem oświadcza, iż rozmowa będzie prowadzoną tak głośno, aby ją mogła słyszeć straż z przeobrażeńskiego pułku w sąsiedniej sali; nadto w rozmowie nie będą poruszane kwestye polityczne.

Oficer prośbie tej z miejsca odmawia, motywując odmowę tem, iż jego koledzy z pułku zakaz rozmowy uważają za jedyny środek dla przeszkodzenia układom wśród więźniów.

Po kolei powstaje kilku jenerałów z różnemi prośbami. Administrator Korczew prosi, aby niewygodną dlań sofę zamieniono na inną, który zajął jeden z jego kolegów. Zyczeniu temu dzieje się zadość, gdyż rządowi tymczasowemu jest obojętnem, na jakiej kanapie spi p. Korczew, jeśli tylko znajduje się w murach pałacu taurydzkiego pod nadzorem. Inni proszą, aby im wolno było sprowadzić z domu poduszkę lub ubranie, lub, aby im powiedziano, czy ich rodziny znajdują się przy życiu.

Mniejsza sala w pawilonie ministrów przeznaczona jest dla bardziej uprzywilejowanych więźniów, mianowicie dla ministrów. Znajdują się tu: książę Golicyn. Goremykin, Bark, ks. Szachowskoj, senator Bieleckij. Tutaj uskarżają się najbardziej na zbyt wysoką temperaturę. Oficer służbowy przyrzeka, że poleci otworzyć drzwi, zaraz jednak poczynają wszyscy wołać, iż powstaje przeciąg.

W trzeciej ubikacyi znajdują się stosunkowo mniej znakomici więźniowie, jak szefowie policyi i żandarmeryi. — Pułkownik żandarmeryi, Plejew, robi tak komiczne wrażenie, iż trudno się na jego widok powstrzymać od uśmiechu. Wygląda, jakby wdział ubranie cywilne swego najmłodszego syna; za krótkie rękawy krępują każdy ruch ramion. Mianowicie tłum niespodziewanie zaatakował go w mieszkaniu i w pospiechu zmusił do włożenia ubrania jego syna“.

85 medali waleczności „krakowskim dzieciom“.

(Do illustracyi na str. 3).

Dzień 26. marca b. r. był dla „krakowskich dzieci“, służących w 16. pułku piechoty obrony krajowej, podwójnie uroczystym. W dniu tym obchodzono imieniny ukochanego swego dowódcy, pułkownika Hohenauera, równocześnie zaś odbyło się wręczenie ośmdziesięciu pięciu żołnierzom medali waleczności, przyznanych im jako rzetelnie zasłużona nagroda za ich męstwo i brawurę.

Rojno, gwarno i wesoło było też w dniu tym w siedzibie pułku, przebywającego ciągle na wschodnim froncie, a fotografie, sporządzone przy tej okazyi, stanowić będą dla każdego z uczestników miłą pamiątkę uroczystej i podniosłej chwili.

Kronika tygodniowa.

W poprzednim numerze głębszej polityki nie poruszałem wcale, nie tyle może z powodu braku miejsca, zwłaszcza, iż Redakcya ofiarowała mi wspaniałomyślnie o całą jedną kolumnę więcej, niż zwykle, bym się mógł bodaj raz w roku należycie wygadać, ile raczej ze względu na zdrowie P. T. Czytelników. Zrezygnowałem więc z rozszerzenia kroniki, wychodząc z tej zasady, że zdrowie ogółu powinno się mieć przedewszystkiem na oku, a dziś polityka, zwłaszcza ta, tak zwana głębsza, psuje tylko krew i humor. Niechaj więc tydzień świętalny będzie spokojny, niechaj głowa nie pracuje, siląc się na różne kombinacye, które i tak się nie spełnią, skoro i żołądek urządza bezrobocie.

Po tym wstępie przechodzę odrazu do właściwej rzeczy, czyli do tak zwanego porządku dziennego, na którym jest przedewszystkiem dyskusya *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, nie wykluczając naturalnie i innych spraw, o ile naturalnie starczy na nie miejsca. Muszę jednak zaznaczyć, że poruszę tematy, może trochę nieświeże, ale nie moja w tem wina, lecz drukarni, która każe kronikę na przyszły tydzień pisać już w Wielki Piątek, gdy człowiek, nie dostawszy nadto w domu obiadu, jest bardzo żałośnie usposobiony i „chadza, jako ów lew po pustyni, nie wiedzący, kogoby pożarł". A i lwy są teraz w kłopocie!... Są, jak wiadomo mięsożercami, roślinnym pokarmem się nie żywiąc. *eo ipso* więc we wtorki (chyba, że wpadnie im pod rękę jaki baran) i w piątki muszą cierpieć głód, o ile nie chcą się narazić na odpowiedzialność i karę pieniężną aż do pięciu tysięcy koron, ewentualnie nawet na odebranie uprawnienia do prowadzenia przedsiębiorstwa. Nie jest kronikarz zresztą poetą, by mógł przewidzieć, jak spędzi święta i podać to do wiadomości ogółu.

Dawniej, po inne lata, nawet jeszcze rok temu, w Wielki Piątek w naszych handelkach panował ruch ożywiony. Nie znalazłeś miejsca, gdzie możnaby głową skłonić, by w domu swą osobą nie sprawić kłopotu. Dziś zmieniło się wszystko. W knajpce pustki, w domu cicho. Tradycya każe iść na śledzia, idzie też człowiek i za koronę i pięćdziesiąt halerzy otrzymuje coś, co się wprawdzie nazywa śledziem, ale wzrostem przypomina średniej wielkości sardynkę. Gdy się upomnisz o swą krzywdę, dowiadujesz się, że to zaostrzona wojna łodziami podwodnemi tak ujemnie na śledzie wpłynęła (o czem zresztą już z okazyi Popielca na tem miejscu wspomniałem) i że wogóle powinniśmy być zadowoleni, że jeszcze mamy śledzie, które, jako małe i ściśle neutralne, nie mogą nikomu zaszkodzić. Na rybkę, n. p. karpia w galarecie, lub po polsku, pozwolić sobie trudno. Ze względu na wygórowaną cenę (cztery korony), potrawa ta dostępną jest jedynie dla milionerów, lub kamieniczników (nie obdłużonych). Ci ostatni, ze względu na zmianę kwartału mają dziś „hopy", mogą więc pływać, niczem „pączek w maśle". I to wyrażenie jest karygodnem, po pierwsze bowiem pączki są obecnie ustawowo zakazane, nie wolno także smażyć ich na maśle, ani na smalcu, wazeliny zaś w tym celu nie nauczyliśmy się jeszcze używać. Ponadto niema czem zwilżyć gardła. Piwa dostanie się dopiero o siódmej wieczór, a trudno „na sucho" tak długo czekać, zresztą i ono zdrożało znowu o cztery halerze na szklance, a pić wino, to zbytek i poprostu zbrodnia wobec własnej kieszeni. W normalnych czasach, w chwili takiego zwątpienia, wyciągało się z kieszeni cygaro i puszczało wonne dymki, dziś i na to nie można sobie pozwolić, gdyż ograniczono wydawanie przetworów tytoniowych prawie do *minimum*. Trafikanci urządzają przez cały tydzień bezrobocie i oglądają się za innym jakim zarobkiem, ogonki przed trafikami zamarniały i należą już do tradycyi.

Zważywszy te wszystkie okoliczności, które powyżej przytoczyłem, przyzna mi każdy chyba, że nie jest bynajmniej przyjemnością być dziś kronikarzem i wybaczy mi, że sprawozdanie, jak spędziłem święta Wielkanocne, odłożyć muszę do przyszłego numeru. Zaznaczę tylko, iż Wielką Sobotę przeznaczyłem na zwiedzanie grobów, Wielką Niedzielę na wypoczynek i rozmyślania, jak w roku ubiegłym smakowała mi szynka, poniedziałek na odwiedzenie znajomych na Zwierzyńcu, by zebrać garść wrażeń z „Emausu", wtorek zaś na wycieczkę na Podgórze, choć „Rękawki" prawdopodobnie nie będzie. Te dwa ostatnie punkty porządku, niech się nazywa, dziennego, mogą bardzo łatwo odpaść. Zanosi się bowiem na niepogodę. Przepowiada to i barometr i moja kolana, a nadto twierdzenie ludzi starej daty, którzy utrzymują, że musi deszcz padać, ilekroć nasze święta zejdą się z żydowskiemi. Przy tej sposobności muszę nadmienić, iż ze strony kompetentnej zwrócono moją uwagę, że minąłem się z prawdą, pisząc, iż Izraelici dostali na święta Paschy białą macę, gdyż jest ona w tym roku brunetką, pozatem narzekano, że rozdzielono ją w bardzo skąpych ilościach, gdyż zaledwie po sześćdziesiąt dekagramów na głowę. Odpowiedziałem słowami pana fizyka: „Mimo przeciwności nie należy nigdy upadać na duchu".

Jak tam moja Weronisia urządzi się na święta, tego nie wiem dotąd, myślę przecież, że czułe jej serce nie pozwoli jej zapomnieć o mym żołądku, choć z drugiej znów strony złe mam przeczucie, gdyż nie żądała, jak po inne lata, żadnych nadzwyczajnych kredytów, a wątpię, by rozporządzała jakiemi oszczędnościami, o których nie wiedziałbym. Zobaczymy zresztą, jak to będzie.

Z konieczności więc, nie mogąc o czem innem pisać, muszę się zabrać do polityki, na pierwszem miejscu wyrażając uznanie nieboszczce pani de Thébes, której ostatnia przepowiednia już się częściowo spełniła. W łabędzim swym śpiewie, to jest w przepowiedniach na rok bieżący, wyraziła się paryska wieszczka w sposób następujący:

„W marcu nastąpi w Europie gwałtowny przewrót. Jeżeli nie zakończy on wojny, to skończy się ona we wrześniu, a zakończą ją nędza i głód. Potężny władca utraci państwo. Los wskazuje na osobę cesarską. Nie widzę znaku zwycięstwa na jego hełmie".

Francuzi byli przekonani, że miała ona na myśli Niemcy, teraz widzą, iż się pomylili, choć car Mikołaj chodzi zwykle w czapce, nie w hełmie. Marzec się skończył, on stracił państwo, końca wojny przecież jeszcze nie widać, musimy więc cierpliwie czekać znowu aż do września, a chyba, zwłaszcza w czasie tej wojny, mieliśmy już dość okazyi do nauczenia się cierpliwości. Nie przyjdzie nam to więc zbyt trudno. — Wogóle w ostatnich latach wyćwiczyliśmy się już w tylu cnotach, że każdy z nas może się śmiało uważać za kandydata do nieba. Czyściec i piekło (z powodu braku węgli słabiej, niż dawniej, opalane) będą świecić pustkami, chyba że przeprowadzi się tam z urzędu kolonizacyę, a kandydatów można będzie znaleźć dosyć między n. p. różnymi spekulantami, robiącymi dziś na biedzie bliźnich brylantowe interesy. Podobno magistrat przygotowuje już spis osób, mających w tamte strony być skierowanemi na przymusową „ewakuacyę".

Co do rewolucyi rosyjskiej, to jeszcze dziś nie wiemy nic pewnego, co się tam właściwie dzieje, wszelkie bowiem wiadomości stamtąd przechodzą przez angielską cenzurę, a ta przepuszcza tylko to, co jej się podoba. Raz czytamy, że car znajduje się w Carskiem Siole pod strażą angielskich oficerów i stąd ma być przewieziony do Anglii, inne telegramy podają, że wraz z rodziną umieszczono go w twierdzy Petropawłowskiej. Tu i ówdzie spotyka się ze wzmiankami o kontrrewolucyi na korzyść dawnego porządku, ile jednak na tem lub na owem prawdy, tego nikt nie wie, choć wszyscy o tem mówią i tem się głównie zajmują. Wystarczy powiedzieć, że właściwie pierwsze pozytywniejsze wiadomości doszły nas z pism polskich, podających sprawozdania z mów Miliukowa i Kiereńskiego, wygłoszonych w Petersburgu jeszcze w dniu 16-go marca wobec zgromadzonych żołnierzy i obywateli. Miliukow wyrazić się miał, iż „rząd runął do błota, z którem był spokrewniony". Pokojowo nie był on wcale usposobiony, zaznaczył bowiem wyraźnie:

„Rząd obaliliśmy łatwo i szybko, nie jest to jednak wszystko, co uczynić należy. Pozostaje jeszcze druga połowa sprawy, najważniejsza — utrzymanie w ręku naszem zwycięstwa, które osiągnęliśmy tak łatwo".

Słowa te odnoszą się wprawdzie do stosunków wewnętrznych, kilkakrotnie przecież tak Miliukow, jak i Kierenskij, który oświadczył, że „wszedłszy do składu rządu pozostał republikaninem i rzecznikiem demokracyi", napomknęli wyraźnie, że wierzą i w zewnętrzne zwycięstwo, które jest prawie pewnem, gdyż ufają armii, że ona będzie silną przez swą jedność wewnętrzną i potrafi stawić czoło wrogowi. Czy się nie łudzą, przyszłość okaże, zwłaszcza, że muszą tak tańczyć, jak im Anglia zagra, z drugiej zaś strony nie można jeszcze przewidzieć, jakie rozmiary przybierze a może i już przybrał ogień, podłożony pod stopnie tronu carów przez pana Buchanana z polecenia swego rządu. A nuż wiatr zawieje z przeciwnej strony i wbrew oczekiwaniom i przerzuci go tam, gdzie mieć by go nie chcieli?... W tej wojnie tyle już przeżyliśmy niespodzianek, iż jedna mniej lub więcej różnicy nikomu nie zrobi, choć łatwo bardzo może zepsuć kombinacye angielskie.

Jeśliby jednak Rosya miała rzeczywiście zamiar prowadzić dalej wojnę, nie możnaby się spodziewać pokoju nawet i na wrzesień, a zbyt wiele mam zaufania do ś. p. pani de Thébes, by przypuścić, iż się znowu omyliła.

Pewniejsze wiadomości mamy natomiast z Ameryki, skąd donoszą, iż stało się wreszcie zadość woli pana Wilsona. Senat ośmdziesięciu dwu głosami przeciw sześciu przyjął rezolucyę, uznającą stan wojenny z Niemcami za istniejący, a Izba reprezentantów uchwaliła, że dyskusya nad wnioskiem wojennym ma się rozpocząć we czwartek o godzinie dziewiątej rano. — Izba tak długo pozostaje w permanencyi, aż wniosek będzie przyjęty. co, według zapewnień, nie ulega żadnej wątpliwości.

Stało się więc, co się stać miało. Właśnie na wiosnę wypierzył się anioł pokoju (pan Wilson) i przyoblekł się w nowe piórka, nastrój wojenny wzmógł się w Stanach Zjednoczonych do niebywałych rozmiarów. Ameryka nie pozostanie bezczynną, podsekretarz departamentu marynarki oświadczył, iż wydano już zarządzenia co do natychmiastowego współdziałania z Anglią i Francyą, oczekują też rozpisania nowych podatków i kredytów wojennych.

Przecierpieliśmy już tyle, damy sobie może i z tem radę. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby tak pan Wilson wyszedł na tej imprezie „jak Zabłocki na mydle", a należałaby mu się słusznie taka nagroda za jego postępowanie.

Im dokładniej studyuję politykę i dyplomacyę, tem większego nabieram do nich obrzydzenia i dziękuję nieraz Panu Bogu, że jestem tylko kronikarzem, który walczy piórem i może nawymyślać temu i owemu, nie potrzebując się obawiać, iż będzie to powodem wojny. Na swą pochwałę dodam, iż od początku wojny ogłosiłem swą neutralność i dotąd się jej nie sprzeniewierzyłem, ale ja już jestem taki, iż nie łamię nigdy raz danego słowa. Może to potwierdzić moja lepsza połowa, czcigodna Weronisia, której nie zdradziłem dotąd nawet myślą ni mową, nie mówiąc już uczynkiem, zresztą ona na to nie pozwoliłaby wcale i... obojgu nam z tem dobrze. Spokój panuje między nami od najdawniejszych czasów — nie wiemy nawet, co to jest tak zwana „stopa wojenna", której nie powinno znać kochające się, jak my, małżeństwo. Narzekamy czasem jedno na drugie, ale to tylko tak z przyzwyczajenia. pokłócimy się też niekiedy, ale to tylko w myśl przysłowia: „Kto się lubi, ten się czubi". Wiedzie nam się też dobrze, niebiosa nam błogosławią, a świat nas ceni i szanuje, czego i P. T. Czytelnikom życzę z całego serca.

Polityką zajmuję się więc tylko z konieczności, by nie psuć niepotrzebnie krwi ani sobie, ani innym i myślę, że za złe nie wezmą mi tego Czytelnicy, którzy o sprawach najważniejszych mogą się dowiedzieć prędzej z telegramów pism codziennych, a chyba niema nikogo, ktoby ograniczał się na lekturze jedynie „*Nowości illustrowanych*".

Ze spraw, z wojną bodaj pośredni związek mających, poruszyć muszę sprawę Dra Kranza, o której w ubiegłym tygodniu dużo pisano, a jeszcze więcej mówiono, zwłaszcza w kołach, zajmujących się dostawami dla armii. Zdania były podzielone. Jedni utrzymywali, iż pan Dr. Kranz jest niewinny, niczem dziecko, które się jeszcze nie narodziło, inni natomiast byli zdania zupełnie przeciwnego. Gdy ogłoszono wyrok, nad losem skazanego ubolewali zwłaszcza ci, którzy wyznają zasadę, iż „słodko jest dostawiać dla ojczyzny", gdyż mimowoli przychodziło im na myśl „co dziś tobie, jutro mnie!..." Druga, przeciwna partya skomponowała nawet przysłowie „wyszedł jak Kranz na piwie".

Wiele hałasu, wprawdzie tylko lokalnego, nie światowego, narobiło w Warszawie przymusowe golenie bród żydowskim ortodoksom. Działo się to ze względów hygieny, prasa jednak warszawska, zwłaszcza żargonowa, zatrąbiła na alarm, nie mniejszy, jak wówczas, gdy chodziło o odrutowanie Warszawy ze względów rytualnych. Rozpoczęły się pertraktacye między kandydatami do ogolenia i milicyą, które jednak dotąd nie doprowadziły do rozstrzygnięcia sprawy. Zarząd milicyi zgadza się, by od ogolenia brody „w drodze urzędowej" chroniło świadectwo lekarza dzielnicowego, które ma walor trzechdniowy i obiecuje przy tej bezbolesnej operacyi nawet interwencyę wyższego urzędnika, owi „kandydaci" żądają, by świadectwo mógł wystawić felczer, fachowiec w goleniu brody i oceniania o jej czystości i by ono miało ważność cały miesiąc. Jak się ta pierwszorzędnego znaczenia sprawa zakończy, dotąd nie wiadomo. W każdym razie żądają „ogoleni" zwrotu włosów. które są przecież ich własnością i mogą być użyte n. p. do napychania materaców.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy uroczystość kościelną, a końcowy początek znanej pieśni polskiej.

□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □
□ — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Nakrycie głowy na Wschodzie. 2. Rodzina mięczaków. 3 Góra w Afryce. 4. Rodzaj sikorki. 5 Choroba zakaźna 6. Zagłębienie między dwiema górami. 7. Przezwisko mieszkańców Ameryki 8 Inaczej włościanin. 9 Okrzyk, albo znak. 10. Imię męskie 11 Roślina lekarska. 12. Zwierzę z rodziny łasic. 13 Rzeka w Europie. 14. Cesarz rzymski. 15. Rzeka w Finlandyi. 16. Rzecz doborowa z francuskiego) 17 Mityczny koń. 18 Część ciała (odwrotnie). 19 Norweski poeta odwrotnie. 20. Miasto we Francyi. 21. Naszyjnik (w czwartym przypadku). 22. Coś doskonałego. 23. Wyspa na morzu Egejskiem.

Szarada.

Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Pierwsza i druga, czarodziejskie słowo
Z myślą o drogiej i bliskiej nam duszy,
Lecz przy niem *trzecie* jest zabójczą mową,
Co gmachy wierzeń i nadziei kruszy.

Pierwsza i trzecia, śliczna, użyteczna
Każdemu wśród nas, w złej czy dobrej doli,
Źle traktowana, czasem niebezpieczna,
Bo nie stworzona do pęt i niewoli.

Całość jest wszystkiem dla serca kobiety,
Całem jej szczęściem, rozpaczą, boleścią,
W niej wszelkie błędy i wszelkie zalety,
Ona istoty i duszy jej treścią.

Okienko.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	e	e	i	i	i	i
i			i			i
i			i			k
k	k	k	l	l	l	l
m			m			n
n			o			o
o	p	p	u	u	z	y

Znaczenie wyrazów: 1 Rodzaj zagadki. 2. Miejsce pobytu zmarłych według mitologii greckiej 3. Imię żeńskie.

Rozsypane litery.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, b, d, g, g, g, l, ł, ł, o, o, o, s, s, u, u.

Łamigłówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

W miejsce kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o pewnem znaczeniu. Litery te, czytane z góry na dół, podadzą nazwę obchodów ludowych, przypadających na czas Wielkanocy.

O—m
E–s
–nd
—ad
gn—
lo—
e—a
s–k
—ot
–ga
le—
le—
P—c
M–n
—iś
–ra
so—
ko—.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Król dał zasmażki kota.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Strejk u jarzyn idzie do chat Genewy.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

U. BODANSKY.

T. NYTEDSKA.

T. HROSZYCKA.

EWA SNIZICKA.

U. Z. ONYSKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 13.

Okienko:

Ł	o	m	ż	a
o		a		l
m	a	l	t	a
ż		t		r
a	l	a	r	m

Łamigłówka:

Waga
Igor
Ezaw
Lena
Kora
Imam
Pora
Owad
Sara
Tara

Zadanie do przestawienia: Starego wróbla nie złapiesz na plewy.

Okienko:

D	r	a	c	h	m	a
r		u		o		n
a	u	t	o	m	a	t
c		o		i		r
h	o	m	i	l	i	a
m		a		i		k
a	n	t	r	a	k	t

Logogryf:

			J			
		m	ó	l		
	w	r	z	o	s	
k	o	z	e	t	k	a
	k	e	f	i	r	
	l	i	m	b	a	
	p	i	ę	t	a	
	o	l	c	h	a	
	f	l	i	r	t	
	r	y	n	k	a	
	b	r	a	m	a	
	m	o	k	k	a	
	m	i	r	z	a	
m	u	s	z	k	a	t.
	f	r	e	s	k	
		o	s	m		
			z			

Zadanie do przestawienia: Kto bywa na wozie, bywa i pod wozem.

Grzebieniówka:

G	r	z	e	s	i	o	k	i	W	i	k	t	o	r
a		a		a		a		f		n		a		a
b		g		c		l		i		f		r		c
l		ó		h		d		g		l		l		i
o		r		a		e		e		a		a		b
t		s		l		r		n		n		t		o
k		k		i		o		i		t		a		r
a		i		n		n		a		y		n		z

Zadanie do przestawienia: Młoda żonka, karoca do nieba

Bilety wizytowe: Jan Kasprowicz Stefan Żeromski. Lucyan Rydel Gustaw Daniłowski Bolesław Prus.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Łodyńska Kraków, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów M Gołska Wiedeń, M Raczyńska Lwów, W. Nowiński Tarnów, R Wójcik Przemyśl, Z Małecki Lwów, S. Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl, Z Walkowski Brzesko, H Dziedzic Tarnów, E. Winter Tarnów, E Bogdalska Koropuż

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **H. Wincencik, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Biblioteczka Legionisty (Tomik I–X Rok 1916) wychodzi już od stycznia 1916 r.; wydany obecnie 10 tomik zamyka więc pierwszą jej seryę roczną. Celem wydawnictwa jest rozbudzenie w żołnierzach naszych poczucia związku z tradycyą wojskową ich przodków, a zarazem rozpowszechnienie w szerszych kołach publiczności zamiłowania do historyi wojskowej polskiej. Redaktor, dr. W. Tokarz, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, ograniczył „Biblioteczkę" do pamiętników i opracowań wojskowych z lat 1792–1864; czasy te, bliższe stosunków wojny obecnej, wzbudzają więcej zainteresowania w Czytelnikach.

Część tego okresu (lata 1792–1831) obejmuje świetna praca jenerała Ignacego Prądzyńskiego; „Czterej ostatni wodzowie polscy" (tomiki 4 i 5). O kampanii r. 1792 dała „Biblioteka" pracę pułkownika K. Górskiego (t. 9 i 10), zasłużonego pracownika na niwie historyi wojskowej polskiej. Cechuje ją szorstki, ale szczery sąd żołnierza, pochlebnie oceniającego wojsko polskie tych czasów, a za surowo może kierownictwo. Z początków Księstwa Warszawskiego mamy tu fragment pamiętników Dezyderego Chłapowskiego (tom 8), porównanych przez pierwszego ich wydawcę (prof. Kazimierza Morawskiego) do komentarzy Cezara. Fragment ten powinien obudzić najwięcej zainteresowania, bo przecież Dąbrowski i książę Józef tworzyli w latach 1806–1807 wojsko polskie w warunkach bardzo podobnych do dzisiejszych. Czasów powstania listopadowego dotyczą pamiętniki Karola Różyckiego (tom 1) i ks. Jałonowskiego (tom 6–7).

O roku 1863 mówi praca W. Bentkowskiego, syna profesora Uniwersytetu warszawskiego, wybitnego parlamentarzysty wielkopolskiego (tom 2 i 3). I on był żołnierzem z zamiłowania; już jako młody chłopiec stawał w szeregu w r. 1831, kształcił się potem w wojsku pruskiem, dowodził bateryą na Węgrzech w r. 1849. W r. 1863 Langiewicz powołał go na swego szefa sztabu. Tło opowiadania Bentkowskiego jest mocno pesymistyczne; przebija u niego realizm żołnierza fachowego, nie entuzyasty. Ale autor zauważa nie tylko błędy, umie ocenić i podnieść każdy przebłysk zdolności i organizacyjnej, każdy moment odwagi i inicyatywy oficerów powstania. Pamiętnik jego jest następnie jednem z tych niewielu wspomnień wojskowych z r. 1863, z których żołnierz dzisiejszy może się czegoś nauczyć.

Każdy z tomików „Biblioteczki" redaktor zaopatrzył przedmową; do większości z nich dodał mapki, dzięki którym Czytelnik może śledzić przebieg opisywanych operacyi

Zapowiedziane tomiki 11 i 12 „Biblioteczki" obejmują pracę jenerała Wojciecha Chrzanowskiego pod tytułem: „Opisanie bitwy grochowskiej", a 13 i 14 studyum podpułkownika generalnego sztabu szwajcarskiego, von Erlacha, o działaniach partyzanckich polskich w r. 1863. Chrzanowski talentem pisarskim dorównywał Prądzyńskiemu, a dziełko jego o bitwie grochowskiej cechuje przytem niezwykły spokój i umiarkowanie sądu. Uprzedza ją redaktor obszerną przedmową, obejmującą życiorys jenerała i charakterystykę jego prac wojskowych. Podpułkownik von Erlach, autor pracy p. t. „Wojny o wolność mniejszych narodów" jeździł z polecenia swego rządu po naszych obozach w r. 1863 i przypatrywał się potyczkom. Pracę tę, ocenioną tak przychylnie przez Agatona Gillera, przetłumaczył z oryginału niemieckiego dla „Biblioteczki" dr. Jan Gagatek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeiskiego